



26115

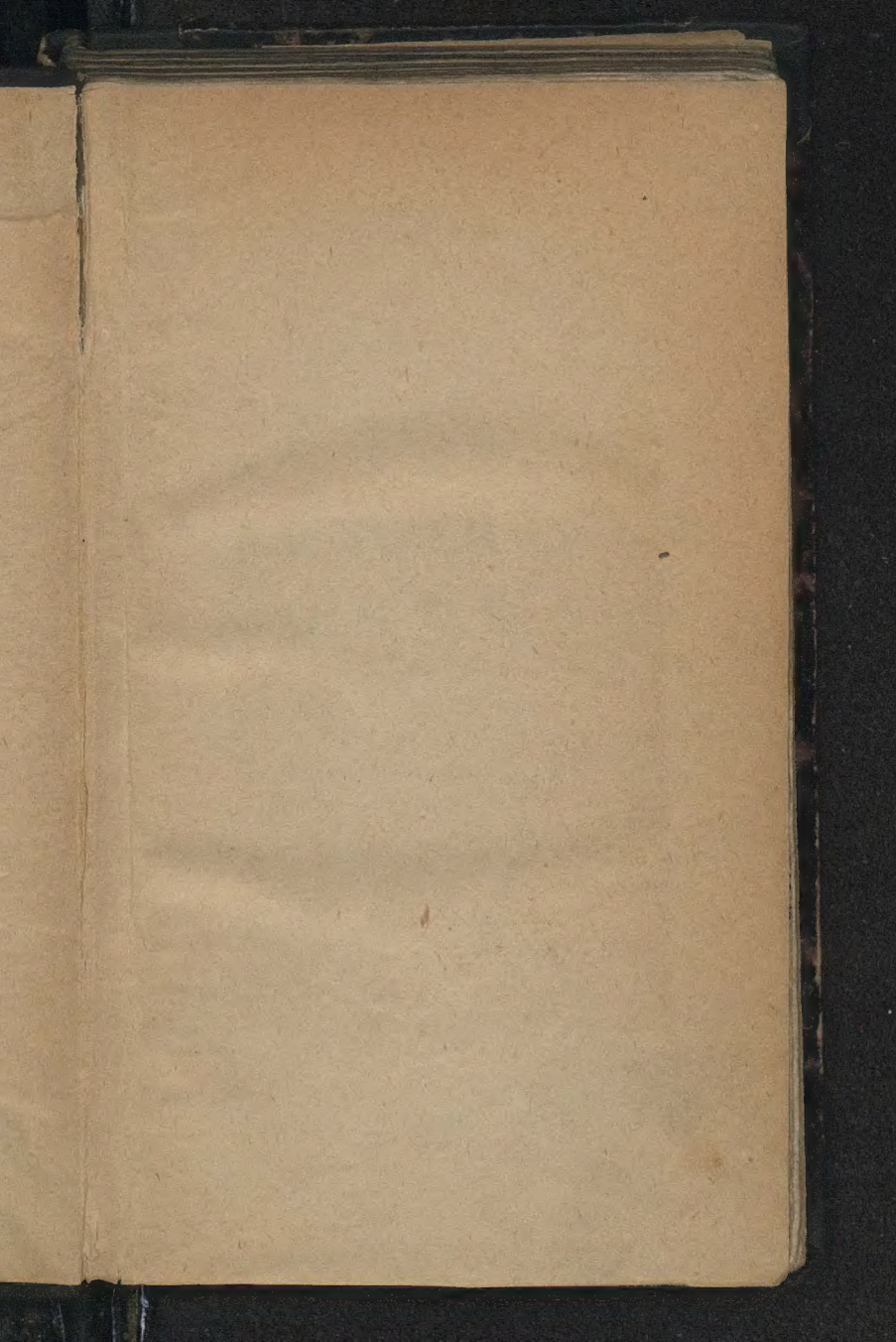
I

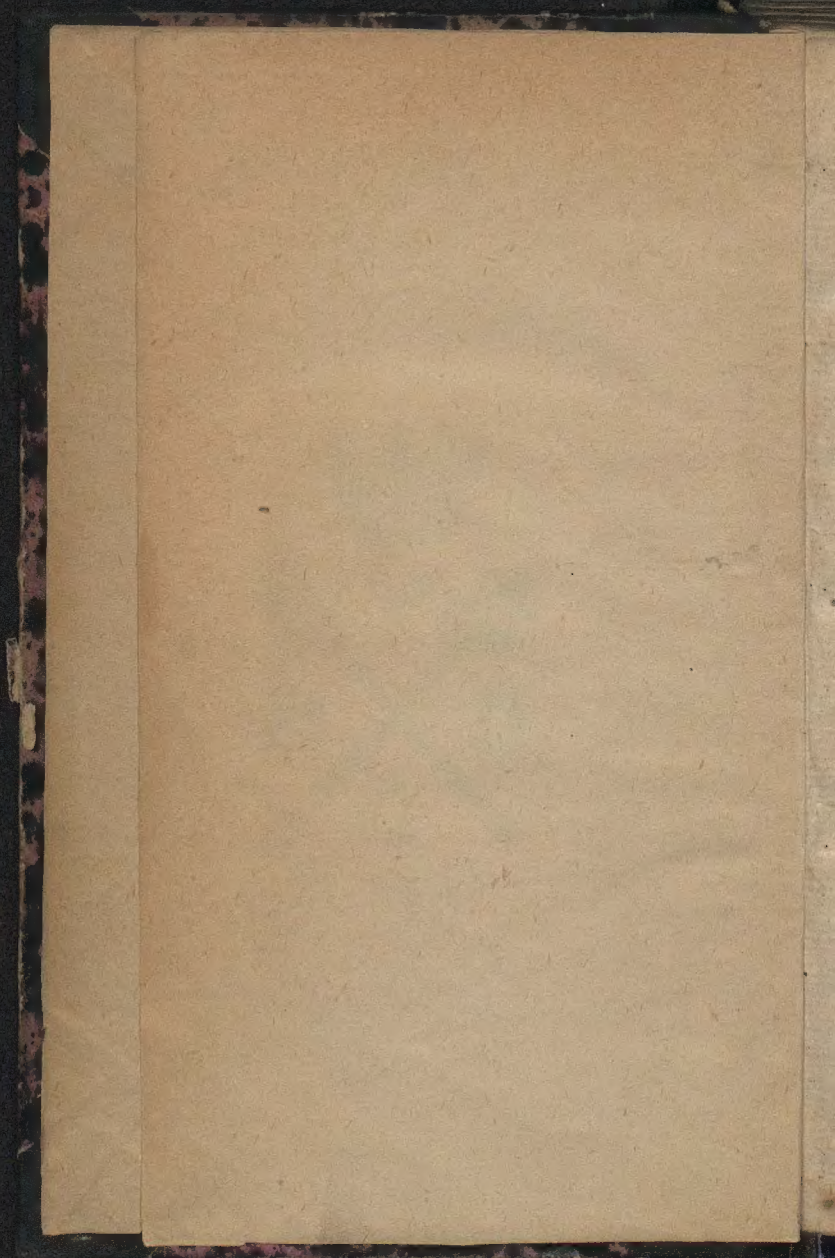
Mag. St. Dr.

P

Featr 592.







S Y N
MARNOTRAWNY;
K O M E D Y A.

9. 26, 74, 91, 63.

9. 26. 74. 91. 63.

S Y N
MARNOTRAWNY;
KOMEDYA

W PIĄCIU AKTACH,

Wierszem przestofowana.

Irritat, mulcet.

HOR.

przez

Jmci Pana LUDWIKA AZARYCZA,

Dworzanina Rady Nieustającej.



Za Przywileciem.

W WARSZAWIE 1780.

Nakładem y Drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

AKTOROWIE.



KLIMUNT DOBRUCKI, Starosta.

WALERY, dawniey Woyskowy.

SIECIECH, Regent.

} Synowie
Klimunta.

BIZARSKI, Szlachcić bogaty.

ELŻUSIA, Corka Bizarskiego.

ZDAWNIALSKA, Podstolina Wędeńska.

FIDELSKA, Pokoiowa Elżusi.

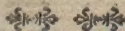
HOŁOTKIEWICZ, Służący Walerego.

LOKAY.

WARTA.

Scena w Kaliszu.

26/15. I.





AKT PIERWSZY.

SCENA I.
KLIMUNT, BIZARSKI.

BIZARSKI.

Moy smutny przyjacielu! moy dawny
sąsiedzie!

Nadumałeś się dosyć o domowej biedzie.
Czasby ją raz zapomnieć hey! co za po-
ciecha!

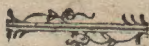
Gdy daię moją córkę za twego Sieciecha;
Gdy rany twego domu goi kontrakt wieczny:
Ale ten twoy Pan Sieciech zdaie się nie
grzeczny.

KLIMUNT,

Coż zrobił?

A 3

26115 I.



BIZARSKI.

Wzdęty swego urzędu powagą,
Kocha się w swoiey przyszley pod miarą y
wagą,

Ja o takim młodziku większe mam nadzieie,
Który wyszedłszy ze szkół, trochę poszaleie;
Ale Pana Sieciecha nienawidzę za to,
Ze zawsze chce rozprawiać, iak brodaty Kato;
Przykry jest.

KLIMUNT.

WacPan także wydaiesz się niby
Trochę z rzędu.

BIZARSKI.

Y zatom lepszy bez ochyby,
Bo lubię prawdę mówić, y lubię iey słuchać.
Buzować Pana zięcia, gdy chce pod nos
dmuchać;

Wyrzucać mu na oczy iego śmieszne czyny,
Y przygaszać napuchłość tey prawnickiey
miny;

Kiedy iednak rozpustnik, burda, marno-
trawca,

Kostera, y tyśiącznych innych niecnot spra-
wca,



Starczy fyn twoy Walery, nie wiedzieć gdzie
zniknął.

Dobrze ieſt, żeś do tego pyłzalka przy-
wyknał;

Ześ na niego maiątek cały naſpoſobił,

Y żeś mu regentſtwo tym czaſem wy-
robił.

Ale iak tylko dopadł Pan młodziak urzędu,
Zhardział zbyt, y dla ſtarſzych nie ma doſyć
względu.

Pelen dziwney prożności, y marnego ſzumu,

Już ſądzi, że ma więcej nademnie rozumu.

Choć każdy wie dokładnie, że ia mam oleju

Od ciebie nawet więcej.

KLIMUNT.

A moy dobrodzieciu!

Jakże ci ſię nie ſprzykrzy?—

BIZARSKI.

Te iednak przywary,

Natura mu nadgradza ſzczodro z inney
miary.

Zrobiła go łakomym, na tym ſtoią domy:

Od rozumnego lepszey goſpodarz łakomy.

Dar to boży ta wada. Idźmy łączyć parę,

Niechay mu dziś Elżbietka poprzyſięże wiare.

A 4



Nie zostaie nam więcej z interessowmnostwa,
Tylko, żeby Wać zrobił cessyą starostwa;
Donacyą wszystkich dobr y summek prze-
lewki,

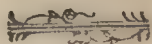
Na synala, przyszłego męża moiey dziewczki.
Obwarowawszy sobie na Wacim łeb stary,
Obżywienie, poki cię nie wśadzą na mary.
Idźże Wać do alkierza z swym manualistą,
Wygotuycie ze wszystkim tranzakcyą czystą,
Ażebyśmy do Grodu z gotowością przyszli;
Jeżeli nie, to Elżbietka o innym pomyśli.

KLIMUNT.

Com oddał w obietnicy, y w rzeczy nie-
skapię,
Całego regentowi majątku ustąpię.
Osobności też sobie starość moja życzy,
Czekając końca życia pełnego goryczy.
Lecz radbym, żeby moy syn już dosyć szczę-
śliwy,
Był na moię fortunkę mniej cokolwiek
chciwy.
Wiednym synu rozwiołość opłakuię wiecznie,
W drugim postrzegam duszę łakomą zbyte-
cznie.

BIZARSKI.

Tym lepiej.



KLIMUNT.

Ich nałogi zbliżają mi trunny,
Y jestem z każdej strony oyciec niefortunny.

BIZARSKI.

Panie boleśny świekrze! do czegoż to
służy?
Chciałbyś, żeby znurzany w sprofności ka-
łuży.
Walery znowu przybył? breweryi narobił?

KLIMUNT.

Niech Bog broni.

BIZARSKI.

Zeby dom podpalił? nas pobił?

KLIMUNT.

Panie zachoway!

BIZARSKI.

Zeby Elżbietkę porwaną,
Unioff, która mu niegdy była obiecaną?

KLIMUNT.

Nie —



BIZARSKI.

Zeby nam przyleciał dokuczać obiema.
Obdzierać cię? dziedziczyć?

KLIMUNT.

Nic dla niego nie ma:
Wszystko dam iego bratu w dobrach y pu-
ściźnie.

BIZARSKI.

Chyba że tak; inaczey Elżufi nie liźnie.

KLIMUNT.

Młodszego ubogacam, bo starszy odrodny.
Nie jest tylko przekleństwa oycowskiego
godny.

BIZARSKI.

Ja się też to dziwuję, żeś patrzył przez
szpary,
Ześ tak długo mógł znosić bezecne przy-
wary:

Co on też dokazywał przez niemałe czasy!
Pamiętasz, świekrze, owe nadobne figlasy?
Kiedy ci się był dobył do okutey skrzyni,
Zeby kupił zaprzęgi dla swey Restoryni,



Ktora w trzy dni innego wzięła sobie gachia;
Jakżem ia się też wtedy naśmiał cha, cha,
cha, cha.

KLIMUNT.

Ale coż za potrzeba WaćPana przywiodła?
Zebys znowu mych żalów odkopywał zrzodła.

BIZARSKI.

A w faraona, pomnisz, gdy się był za-
pałił?
Jak na afa garściami obrączkowe walił?

KLIMUNT.

Eh!... porzuć.

BIZARSKI.

Ale, ale, a te sławne czyny!
Pamiętasz? gdy z Elżbietką miał mieć za-
ręczyny?
Gdzie go w wieczor znaleźli? aż mowić
fromota
W jakiej budce, dla kogo... ptwy, co za
niecnota!

KLIMUNT.

Nacoż WaćPan tych brzydot czynisz obraz
żywy?
Czyliż y tak nie jestem dosyć nieszczęśliwy?



Rzucam powiat, w którym mi niebo życie
dało,

Bym pamięć inieysc utracił, w których się to
działo.

Przychodzę cię, tu, stary przyiacielu łączyć,
Brac pociechę, łzy moje na twe łono łączyć.

Y czemuż tak niewzględnie odświeżał me
bole,

Niezczędzisz prawdy, ale prawda czaſem
kole?

BIZARSKI, *kładąc sobie palce na usta.*

Ną, ną; iuż nic nie rzeknę, kole prawda
naga.

Ale też y Wać Pana wielka nieuwaga,
Bo kiedyś w nim skłonności zbyt byſtre po-
znawał;

Po cożeś go u kata do reymentu dawał?

KLIMUNT.

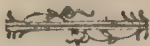
Y ieſzcze?

BIZARSKI.

Już y ſłowka... ale trzeba było...

KLIMUNT.

Trzeba tego zapomnieć, co dotąd mar-
twiło.



Słuchaj, sąż Sieciechowe kroki niedaremne?
Pożyłkażę w szczerości sprzyianie wzajemne?

BIZARSKI.

Ni wątpić. Moję córkę wprawilem po-
woli,
Zawsze moiej naywyższej być posłuszną
woli:
Ona w ryzie trzymana, nie żadna pie-
szczocha,
Jak prędko powiem; nuże! kochaj go, wnet
kocha.
Oh! tę iefzcze wołkową umiem rządzić
duszę,
Do czego zechcę, iednym słowkiem ją przy-
tnuszę.

KLIMUNT.

Pozwol mi WaćPan wątpić, byś miał swo-
im zdaniem,
Kędy zechcesz kierować Elżusi kochaniem,
Dla Walerego niegdy, poki mógł być w
cenie,
Czyście tey nowey duszy zyskałem płomienie.
Pierwszy miłości postrzał naygłębiej kaleczy;
Wiem, że ta rana w piersiach nie prędko się
zleczy.



BIZARSKI.

Bay sobie, bo ci widno.

KLIMUNT.

Wolno, co chcesz gadać,
Ale ten łotr umiał się w ferduśzko zakradać.

BIZARSKI.

Kto zaś znowu? ten hultaj? nie turbuy się
o to:

Bo kiedy on oycowskie śmiał porużać złoto,
Wiodł złe życie, y tyle rozproszył tysięcy,
Przykazałem mey córce nie kochać go
więcej,
Co każe, to być musi... ot y ona króczy.

SCENA II.

KLIMUNT, BIZARSKI, ELZUSIA,
FIDELSKA.

BIZARSKI.

Chodźsam do nas, dziewczyno; patrz mi
śmiało w oczy,
Y na moje pytania odpowiedz mi szczerze,
Gdy ci kogo w dozgonne oddaię przymierze.



Czy on szpetny? czy ładny, smutny czy
wesoły,

Czy w bogactwach opływa, czy iak bizon
goły;

Wszak go kochasz, byle ci odemnie był
dany?

A co? iakże? nie prawda?

ELŻUSIA.

Nie, oycze kochany!

BIZARSKI.

Jako?

KLIMUNT.

Jakżeś to WaćPan despotycznie władał!

BIZARSKI.

Jakże to potym wszystkim, com ci napowiadał,
jeszcze ci się twoy przyszły do serca nie
włunie.

Ten, co ci go dziś daię?

ELŻUSIA.

Mości tatuniu! nie.

BIZARSKI.

Nie wiesz to, że ci każe przyszłe zaślubienie,
Byś mu oddała serce? nie wiesz?



ELŻUSIA.

Pewnie, że nie.

Znam ją, kochany oycze, cokolwiek te
prawa,

Pod które obowiązek wieczysty poddawa.

Wiem, że pilnie w roztropność trzeba się
sposobić,

Aby sobie szacunek małżeński zarobić;

Y w czym natura skąpa mogła nas uszkodzić:

Piękności niedostatek dobrocią nadgrodzić,

Obeym się ukazywać z obyczajów miłą

W domu męża zniewalać przyjemności siłą.

Co się tycze kochania, to jest rzecz osobna,

Wewnętrzny poruszeniem rządzić niepo-
dobna.

Los nasz jest z całą resztą mężowi oddany;

Lecz niech sobie zaśluzę, aby był kochany.

Bo serce do podbicia naywięcey niesnadne,

Nigdy nie umie kochać przez rozkazy żadne;

Ale swoiey naywyższym władcą będąc doli,

Y sam mu nawet rozum nie odeymie woli.

Dopieroż intercyza do tego nie zmusi.

KLIMUNT.

Ja się piszę przy moiey rozładney Elżuli.

Powinność mego syna przez zaślugi śetne,

Zyskać sobie to serce prawdziwie łzachusetne.

BIZARSKI.



BIZARSKI.

Milczałbyś lepiey, dziadu, do zwiedzenia
łatwy;
Siwobrody, podchlebco, kazicielu dziatwy!
Moja corka nie znała takich maxym z piekła,
Y bez ciebie nigdyby tego niewyrzekła.

do Elżuf.

Sluchay ty: daieć męża, nie bardzo ro-
zumny,
Niezbýt gładyfz, y trochę nie wiem czemu
dumny.
Lecz to do mnie należy poprawować zięcia,
Przyiąć, iakiego daie, powinność dziecięcia;
Czyniż, co rozkazuie; a iak się poymiecie,
Zyczę wam, kochaycie się... jeżeli możecie.

do Kliminta.

A ia, Panie współ-tato, nie czekam za-
chodu,
Idę nasze czynności przynaglać do grodu,
Temu fufceptantowi muszę natrzeć ulzy,
Co lada rzecz rozwleka na kilka arkuszy;
Wszystko to dla fikorki; niechby się nią cieszyły,
Byleby się przynaymniej z przepisaniami
spieszyl;



Wnet wracam, nadgrodziwszy pisarkom
fowito.
Zięcia, corkę, y ciebie zburczyć.

KLIMUNT.

Dobre y' to.

SCENA III.

ELZUSIA, FIDELSKA.

FIDELSKA.

Nasz Jegomość do swego dziwnego zacięcia
Łączy słowa y zdania trudne do pojęcia.

ELZUSIA.

Roztrząśnij jego czyny, nie sądząc go
z mowy,
Wyznasz zemną zapewnie, że humor surowy
Nie niszczy w nim dobroci; pod groźną
poślawą,
Przy tych burzliwych słowach, duszę ma łakawą,
Często swe powiedziawszy, nie wysłucha
zdanie,
Natupa się, naskuka, y na nim przestanie.
Oycowskię pobożności dał mi świeżą próbę,
Y poślęki regenta ganiąc, y osobę,

Wskazując mi nieznacznie, y według su-
mienia,

Wszystkie niebezpieczeństwa tego połączenia;
Lecz gdy mi chce dać tegoż małżonkiem y
panem;

Ociec moy na ten moment zda mi się ty-
ranem.

FIDELSKA.

Gdyby mię już konieczność przymuszała
taka;

Wolałabym starego wzięść sobie żołdaka,
Który piie, przeklina, czasem żonę grzotnie;
Ale kocha, y potym przeprosza stokrotnie;
Niżli tego prawnika, który nakłztał pawia
Sam się wpatruie w siebie, sam zawsze wy-
stawia.

Który z mędrkowską miną, z nadętą tony,
Zdaie się w sprawie stawać, gdy mowi do
żony;

Dumę ieszcze przechodzą łakome w nim
żądze,

Zalęca się z rozrywką, rachując pieniądze.

ELŻUSIA.

Zywego nań twoy pęzel używa koloru;
Ale nie zostawiono w mey mocy wyboru.



Ktoż swoy los według żądań na zawsze
upewni?

Iść za mąż, wiek moy radzi, przymuszają
krewni,

A regent, ktorego się dusza moja boi,
Sam iest prawie w tych stronach, ktory mi
przystoł.

Czas y cierpliwość, ktora wszystko przewy-
cięża,

Potrafi moie odiać niesmaki do męża,
Y może obowiązkow dam dowody iasne,
Znosząc iego przywary, iak y moie własne.

FIDELSKA.

Wszystko to powiedziano bardzo wyśmie-
nicie;

Lecz podobno ferdufzko przeczy temu skrycie.
Nie wiem, czy się ośmielić? bo już tyle razy,
Nie mówić o tym starszym, dano mi zakazy.

ELŻUSIA.

Coż?

FIDELSKA.

O Walerym, ktory mimo czyny psotne,
Pożył był WaćPanny westchnienia pier-
wotne,

Który WaćPannę kochał.



ELŻUSIA.

Kochał mię, a znika;
Nie wspominamy więcey tego obludnika.

FIDELSKA, *odchodząc.*

Nie wspominamy.

ELŻUSIA, *zatrzymując ją.*

Prawda, że iego powaby
Wznieciły wemnie płomień, lecz krotki y słaby;
Alboż on zaś był godzien cnotliwego serca?

FIDELSKA, *odchodząc.*

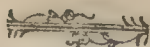
Ho! był to niebezpieczny kobietkom
oszczerec.

ELŻUSIA, *zatrzymując ją.*

Kiedy go zwodziciele zewszecz stron ob-
siedli,
Łatwo ku występкови młodość iego zwiedli.
On od nich niezczęśliwie omylony w guście,
Zamiał w kochaniu, szukał rokoszzy w ro-
puszcie.

FIDELSKA.

Wszakże WaćPanna dawniey raczyłaś to
wierzyć,



Ze w iey miłości swoie chciał szczęście za-
mierzyć,
Ze pod prawem WacPanny słodko życie
trawił.

ELŻUSIA.

Gdyby on szczerze kochał, byłby się po-
prowił.
Wierz mi, przystoyna miłość bez fałszu y
fideł,
Silnych przeciw występkom dodaie wędzideł;
Y kto zdolny czuć w sobie porządne kochanie,
Albo iuż iest uczciwy, albo się nim stanie :
Ale Walery swoię kochankę zafinucił,
Ażeby rozwiozłości szperzey cugle rzucił.
Fałszywi przyjaciele, hultaie niegodni,
Ktorzy go tak zdradziecko wciągnęli do
zbrodni,
Rozproszywszy mizernie posag iego matki,
Na iego karb oycowski szarpali dostatki :
Widząc uwiedzionego od domowych progów,
Płakałam tylu wdzięków, y tylu nałogów.
Ale teraz los iego iuż mię nic nie tyka.

FIDELSKA.

Braciszek się na iego mieysce dziś pomyka,
Y będzie miał Elżusię, a prawdziwie szkoda;



Bo tamtego y piękna szczyciła uroda,
Głos miły, żartkość, zręczność, y ozdobna
mina;
Wcale był do miłości stworzony chło-
pczyna.

ELŻUSIA.

He! ...

FIDELSKA.

Przy tylu występkach w pośrzed błędów
zbioru,
Można było w nim pośrzedz iakiś grunte
honoru.

ELŻUSIA.

Do dobrego się rodził.

FIDELSKA.

Nie chcę go wyflawiać,
Ale mu przyznać trzeba, nie lubił obmawiać,
Ni kiedy szalbierował, ni podchlebiał podło,
Łakomstwo go fromotne nigdy nie uwiodło.

ELŻUSIA.

Prawda, lecz...



FIDELSKA:

Uciekaymy, iego brat nadchodzi.

ELŻUSIA.

Już mi się nawet teraz uciekać niegodzi.

SCENA IV.

ELZUSIA, FIDELSKA, SIECIECH.

SIECIECH.

Dzisiaj pomyslna chwila z nocą przyjdzie
ciemną,

W ktorej ci, Pani, wierność przylegnę wz-
iemną.

Już się gości zgromadza orszak obiecany,
Y prześwietna palestra gotnie się w tany;
Radość swoię oświadczać nikt się nie opóźni.
Patronowie, agenci, fufceptant y woźni,
Wskazując palcem, rzekną: owa to jest
owa,

Elżunia, a dzisieysza nasza Regentowa.
Jeśli kiedy obrocisz twe kroki do grodu.

Krzykliwym tonem woźnego.

Usłyszysz: *Mospanowie, ułapię przechodu.*



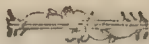
Takie uczczenie zmyśli napawa nektarem.
Przydaymy, że oycowikim zbogacony darem,
Wnet zagarnę starostwo, y część mego brata;
Coż mi braknie? iest godność, iest spora intrata;
Gdy zważam, iż to wszystko y mnie bierzesz wdani,
Winzuję, bo iest czego winzować ci, Pani.

FIDELSKA.

A ia nad moią Panią muszę się użalić,
Bo to iest rzecz baniebną, samego się chwalić;
Już też prawdziwie śmieszny, kto w każdej
rozmowie
Zawsze coś o swym mieniu, y godności
powie;
Y sam się sobie dziwi że udatny cudnie,
Y pychę się rozdyma, y z chciwości chudnie.
Prędzey uydzie poznać, poki młoda pora;
Lecz młodego łakomca, mam za dziwotwora.

SIECIECH.

Bez mała ci wygodniey nie byłoby w sieni;
Wszak podobno nie z tobą mój oyciec mnie
żeni?



Lecz z Jeymością. Więć tedy dobrzebyś zrobiła,
Gdybyś trochę szerokich usłeczek ztuliła,
Moje dziecię, twoja rzecz milcząc.

do Elżysy.

Wiem, że Pani,
A moia wprędce żonka, także icy to zgani,
Nayłatwiey będzie dostać inney Rużebnicy,
Proszę, odegnąć tego dragana w spodnicy,
Jam nie na wiatr regentem; icy głębsi szturmy
Sprawią to, że ią każę załadzić do turmy.

FIDELSKA.

A brońże mię WaćPanna, a zmyżem głowę,
Nie dopuszczay zamykać swoięj pokoiowę,
Mógłby nas ten Jegomość zamknąć potym
obie.

ELŻUSIA.

Z tych początków moy umyśl śmiało wre-
ży sobie.

FIDELSKA.

Mowże WaćPanna głośno, czegoż proźno
mruczyć?



ELŻUSIA.

Coż mam mówić?

FIDELSKA.

Nakłąć mu, nałaiać, nahuczyć.

SCENA V.

BIZARSKI, *y dawni aktorowie.*

BIZARSKI.

Znowu nam coś za kaduk świeżą sztuczkę
płata.

SIECIECH.

Coż takiego?

BIZARSKI.

Szukałem, gdzie twoy flary tata;
Ale widzę, że robi z podróżnym grymały,
Który dopiero wysiadł z pocztowey kolafy.

ELŻUSIA *ciekawie.*

Młody to był podróżny?



BIZARSKI.

Dziad o iednym zębie.

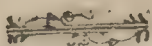
Wiele lat, tyle fałdow mający na gębie.
 Nasze siwce zaraz się po brodach młafnęli,
 Y wnet zgryźliwą jakąś rozmowę zaczęli;
 Trzęśli się od wzdychania ich sklepiste
 grzbiety,

Jeden mówił *niestety!* y drugi *niestety!*
 Uciecha było słyścić, ich wyjące głosy;
 Widzieć szlochami złane, y wąsy, y nosy;
 Starosta rycząc, becząc, iak po iakiey stracie,
 Poszedł się potym w swoiey zakopać ko-
 mnacie;

Mowi, że się do woli chce napłakać wprzody,
 Niżli nasze przed-ślubne podpisze ugody.
 Zamknął się, a z tym wszystkim, trzebaby
 się spiefzyć,

SIECIECH.

Ja nim rządzę, y zaraz idę go pociefzyć;
 Izba dla mnie koniecznie musi być otwartą,
 Jak mię ociec obaczy z śleplowaną kartą,
 Wiem, że zaraz podpisze; starostwo, wesele,
 Wydziedziczenie brata, nie są bagatele;
 W takim razie nie mądry, kto czas darmo
 trwoni.



ELŻUSIA.

Ale moy Mości Panie, wszak nas nie nie
goni.

BIZARSKI.

Owszem nas wszystko goni, a przypisać
tobie,
Całe zpoźnienie trzeba.

ELŻUSIA.

W jakimże sposobie?

BIZARSKI.

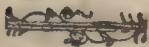
Jażby się to skończyło dawno, gdyby
nie ty;
Wszystkich zawsze zamięszań przyczyną ko-
biety.

ELŻUSIA.

Gdy jestem obwiniana, niechayże wiem
za co?

BIZARSKI.

Jeszcze ci się mam sprawiać? wszyscyście
ładaco.



Ta zwłoka nie potrzebna, bałamuctwem trąci,
 Idę widzieć kto nasze ułożenia ma ci,
 Te głowy do pozłoty wybełztam, wylać;
 A ciebie chcesz, czy nie chcesz, dzisiaj za-
 mą dać.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO



Imi

Ty

Nie

Na

Gd

Gt

AKT DRUGI.

SCENA I. ELZUSIA, FIDELSKA.

FIDELSKA.

Coś, widzę? tym śmucniejszy u WaćPanny
mina,
Im się bliżej weselna przybliża godzina?

ELZUSIA.

Im więcej takich związków powinności
zważam,
Tym się więcej ich strasznym ciężarem prze-
rażam:
Nie upatruię śródka, myśląc nad zameścieniem,
Nayśrodką dolą, lub jest ostatnim nieszcze-
ściem;
Gdy się dobierą serca y umysły zgodne,
Gust, y zdanie iednakie, humory łagodne;



Gdy ie miłość zespoli, którą honor czyści,
Wtedy kładźmy małżeństwo w naywyższej
korzyści.

Co za szacowna rozkosz! kochając nieskrycie,
Nosić imię amanta, droższego nad życie.
Dom, dworscy, których iego kolory barwiły;
Wszystko obraz kochanka przypomina miły;
A owa śliczna dziatwa, wiernych zakład chęci,
Z kochania narodzona, do kochania nęci,
Jeżeli się takowy hymen kiedy zdarza,
Niebieskie nam uciechy na ziemi przetwarza.
Ale kiedy zaś smutnym kontraktem przedano.
Stan, y swobodę naszą, y oyczyste miano;
Uważ moja Fidelsiu, iak to frodze boli!
W mężu Pana znaydować, służyć iego woli,
Unikać się, dzień w kłotni trawić niewesoły,
Bez miłości wieczory, bez zabawek słoły;
Obawiać się tyrana, lękać się rywalki,
Wpadać w ułomność, lub z nią wieczne to-
czyć walki;
Jęczeć pod iarzmem, które nieprzeftannie
gniecie,
Hymen taki rzetelnym piekłem jest na świecie,

FIDELSKA.

O! jużem się też teraz założyć gotowa,
Ze pociechy w Warszawie szukająca wdowa,
Ktorey



Ktorey się inż zdarzyło trzech mężow po-
chować,

Nigdy lepiej małżeństwa niezdola malować,
Ale objaśnić trzeba, zkąd WaćPanna wstąpi
Czuiesz do tego stanu: wszakże to stan święty,
Ze jest dość nieprzyjemna regenta osoba,
Z nim się tylko podobno hymen nie podoba;
Czyby się smak nie prędzey do braciżka zrodził?
Może starszy młodszego w kochaniu prze-
grodził:

Znasz WaćPanna mą wierność, odkryj mi zu-
pełnie

Tę tajemnicę prawdy, nie kryjąc w bawelnie.

ELŻUSIA.

Nic nie wiem, co mię może ku małżeństwu
zgiebić,

Wierz mi, w takim szukaniu nie chce się za-
głębić;

Nie mogę dobrze doyrzeć, choćbym nawet
chciała.

Sroga w cierpiącym sercu przelzkadza nawała.

FIDELSKA.

Zawserostropne dziewczę w swoiey głowce
zgada,

Zkąd ten wicher nawałę niołący przypada.



ELZUSIA.

Ja zaś oczy zamrużam, y przez duchy
 wiefzcze,
 Zgadać tego nie pragnę, czyli kocham ie-
 fzcze,
 Niefzczęsnika, ozdobę, y hańbę młodzieży,
 Ktorego nienawidzić przez rozum należy;
 Niech zdaleka odemnie ten zdrayca Walery
 Żyje, niech mu się szczęści, choć mi nie był
 fzczy;
 Y lubo uražoney, godzi mi się życzyć,
 Zeby go gniewny ociec nie chciał wydzie-
 dziczyć;
 Ja się nigdy niezgodzę na karę tak ostrą,
 Y przez iego zniszczenie nie chcę mu być
 fiostrą;
 Tey więc serca litości nie będę się parła,
 Nie chcey w nim szperać głębiey... bobyś ie
 rozdarła.

S C E N A II.

ELZUSIA, FIDELSKA, LOKAY.

LOKAY.

Jeymość Pani Zdawnialska, iakaś Podsto-
 lina

Chce tu wnieść.



ELŻUSIA.

Ta wizyta dziwić mię poczyna.

LOKAY.

Wdowa; lecz niezbyt świeża, bo inż bez za-
łoby:

Mowi, że chce winiszować.

ELŻUSIA.

Nie widzę, czego by?

FIDELSKA.

Może zamiany wieńcow starym obyczaiem.

ELŻUSIA.

Czyż iestem w stanie słuhać, y oddawać
wzajem

Te prożne komplementa, te puste wymowy,
Te fałszywe grzeczności? zawrot bierze
głowy.

Pracując wiele mówić, a nic niepowiedzieć;
W takowym towarzystwie inęka moja siedzieć





S C E N A III.

ELZUSIA, ZDAWNIALSKA, FIDELSKA.

FIDELSKA.

Otoż Jeymość nadchodzi.

ELZUSIA.

Coż to za fzkarada!

FIDELSKA.

Znam ią, ma ferce bierne, y pieniać się
rada.

ELZUSIA.

Kzefekel... moja Jeymość! przepraszam,
ieżeli? ...

ZDAWNIALSKA.

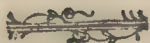
Moia Jeymość!

ELZUSIA.

Nie lepiej, żebyśmy siedzieli?

ZDAWNIALSKA.

Ale ah! moja Jeymość!



ELŻUSIA.

Niechże Jeymość spocznie.

ZDAWNIALSKA *siedząc.*

Prawdziwie moja Jeymość mięszam się wi-
docznie;

Chciałabym....

ELŻUSIA.

O co Jeymość?

ZDAWNIALSKA.

WaćPanny chciałabym
Okraść piękność, a przydać moim wdziękom
słabym,
Lzy mi się wyciskaią, widząc cię tak ładną.

ELŻUSIA.

Przyjm WaćPani pociechę.

ZDAWNIALSKA.

Zadną miarą, żadną;
Widzę, że kogo tylko za męża zapragniesz,
Mieć będziesz; nayhardziejznych pod twe
korki nagniesz:
Ja też miałam iednemu poprzyśiądz w kościele,
Jednegoin tylko miała, wżak to dość niewiele,



Ledwie go sobie siatką uchwyciłam złotą,
 WaćPanna mi go biorąc, czynisz mię sierotą,
 Już też z obyczayności wyiść powinno granic
 Zabierać temu wszystko, kto prawie nie ma
 nic.

ELŻUSIA.

Przepraszam, że WaćPani widzisz mię
 zdumiałą
 Nad iey nawidzinami, y rozmową całą.
 Zkąd do mnie pretensya rościć się poczęła?
 Co WaćPani utracasz, y com ia ci wzięła?

ZDAWNIALSKA.

Znam ia, moia kochanko, takie stare wygi,
 Ktore płocho mniemaią, że przez modne
 krygi,
 Przez tyńkowanie twarzy, kupne zębów rzędy,
 Stanowią miłość, roskosz y czaśow rozpędy,
 Niezczęściem! ia mam rozum, wszystko wi-
 dzę miia,
 Wszystko wędnie, y ta mię uwaga zabia.

ELŻUSIA.

Szkoda, że się musimy pod tym prawem
 rodzić;
 Lecz nie jest w moiey mocy WaćPanią odmło-
 dzić.



ZDAWNIAŁSKA.

WacPanna mię sposobem tymbyś od-
młodziła,
Gdybyś mi oblubieńca moiego wrocila.

ELŻUSIA, z żywością.

Mianuyże mi WacPani tego oblubieńca?

ZDAWNIAŁSKA.

Regenta, niewdzięcznika, zdraycę y od-
mienca,

Za którym fama ścigam, y rozsyłam szpiegow,
Y który niewart moich tak wielu zabiegow.
Oh! pokim ieszcze była mey młodości bliska,
Wspomnieć sobie żadnego nie dałam pod-
piska. *

Znałam ich zdanie liche, ich rozmowę nudną,
Ale włos szpakowaty mniey mię czyni trudną.

ELŻUSIA.

Wreszcie coż się to znaczy?

* Regent w prawdziwey Polszczyźnie zwie się
Podpisek in Voli Legum.



ZDAWNIAŁSKA.

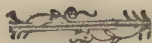
To się wrefczie znaczy,
Ze mię WaćPanna wpędzafz do ciężkiey roz-
paczy.

ELŻUSIA.

Jak, y przez co?

ZDAWNIAŁSKA.

Zwyczajnie iak przystoł wdowie,
Często na Trybunałach siadałam w Piotr-
kowie,
Tam Pan Sieciech Dobrucki, będący w Pa-
lestrze,
Pierwszym w mych zalotnikow pragnął być
regestrze.
Umizgał się, uskarżał na serdeczne rany,
Choć nieuczciwą ku mnie miłością był grzany,
Prawdziwie nieuczciwą; bo ten niby czuły,
Nie tak się do mnie wdzięczył, iak do mey
szkatuły :
Piśałam oycu iego, y prześłałam listy,
W których mi syn oświadczał swoy affekt
strzelisty;
Swatowie, gdy pytali, czyli przyśtać raczy,
On na to odpowiedział, że wkrótce zobaczy.



Wiem, że WaćPanna teraz jesteś przeświad-
czona,
Iż ta rzecz między nami była iak skończona.

ELŻUSIA.

Widzę.

ZDAWNIALSKA.

Ja z moiej strony byłam dość gotowa
Dotrzymać Regentowi raz danego słowa;
Właśnie wtedy starszego brata ożenienie
Następować z WaćPanną miało.

ELŻUSIA.

O! wspomnienie!

ZDAWNIALSKA.

Ten Walery, iak słyżę, był szaleniec iśty,
Który ci się miał dostać przez związek wie-
czysty.

ELŻUSIA.

Ah!

ZDAWNIALSKA.

Ten tedy wartoleb przez swe płoche czyny,
Gdy zniknął, do ostatniey przyszedłszy ruiny,



Błąkacz, z domu wyklęty, może już nie żywy!
(Coż to bledniesz?) nasz Regent na pieniążki
chciwy,

Począł ciekawie ważyć moje z twoim wiano;
A widząc, że z WaćPanną więcej będzie
dano,

Pogardza moy majątek, y moje wzdychanie,
Do WaćPanny posagu obraca kochanie,
Y w ten wieczor ma złożyć głowę na iew łonie.
Ale wszakże y w starym, y nowym zakonie,
Z brata na brata skakać było to za winę,
Y całą samey sobie zajmować rodzinę;
Uczyńska manifest o takową zdradę,
Teraz inhibicyą urzędową kładę.
Choćbym miała przepieniać wniosek y oprawę,
Zacznę z Regentem w Polfcze y we Włofzech
sprawę,

On, y WaćPanna, y ja, me dzieci pospołu,
Nim się sprawa zakończy, poydziemy do
dołu.

ELŻUSIA.

Moia Pani! widzisz mnie rzetelnie zmar-
twioną,

Ze się WaćPani sądzisz odemnie skrzywdzoną;
Cierpliwa dosyć jestem, ale muszę syknąć,
Y nieszczęśni nie mogą zawiści uniknąć;



Do zazdrości WaćPani nie widzę przyczyny,
Nie racz, proszę, nieślusznęj walić na mnie
winy;
W tey mierze bardzo łatwo możemy się
zgodzić,
Ja o męża do prawa nigdy nie chcę chodzić.

ZDAWNIALSKA.

Nie lubisz się pozywać?

ELZUSIA.

Weź go darmo sobie

ZDAWNIALSKA.

To to nie wielki czuiesz smak w jego osobie?
Nie kochasz go?

ELZUSIA.

Niech się, z kim chce, żeni
Mały mam smak w małżeństwie ieszcze mniey-
szy w pieni.





S C E N A IV.

BIZARSKI, ELZUSIA, ZDAWNIALSKA.

BIZARSKI.

Wey, wey, wey! coż to znowu za figle nie-
wieście!

Coś mi tu o iakimśi szepcą Manifeście,
Co? kto? iako? niech mi tu stanie teraz śmieie,
Nauczę ia te baby gwizdać po kościele.

ZDAWNIALSKA.

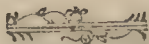
Zamiaśt ulgi w śtrapieniach nowe krzywdy
znoszę,
Mości Panie Bizariski, wyśłuchay mię proszę.

BIZARSKI.

Coż tedy?

ZDAWNIALSKA.

Łotr wierutny ziętaśzek WaćPana,
Zdradził mnie, wiara w niczym nie ma mu
być dana,
Galant łakomy tylko zaleca się skrzyni,
Y wdowki oszukaie.



BIZARSKI.

Bardzo dobrze czyni.

ZDAWNIALSKA.

Przyrzekł dożgonnie lubić moje piękne lice.

BIZARSKI.

A ktoż zaś dotrzymaie takie obietnice!

ZDAWNIALSKA.

A potym mię w okrutney tęskności zosła-
wił,

BIZARSKI.

Y iabym w rowney mierze podobnie się
sprawił.

ZDAWNIALSKA.

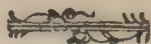
Idę skarżyć przed oycem, on temu poradzi.

BIZARSKI.

Ha! moja Dobrodzieyko! niech Pan Bog pro-
wadzi.

ZDAWNIALSKA z żywotcią.

Na tak szpetny postębek każda krzyknie
dama.



BIZARSKI.

Może mniej krzyku zrobić, niż WaćPani
fama.

ZDAWNIALSKA.

Poznacie po nieczasie frogosć tego błędu,
Co to chybić Wendeńskim urzędniczkom
względu.

BIZARSKI.

Fraszki to są!

ZDAWNIALSKA.

Ah męża trzeba mi koniecznie!
Jemu, oycu, lub tobie, chcę ślubować wie-
cznie.

BIZARSKI.

Jak, iak? mnie chcesz zaślubić?

ZDAWNIALSKA.

Waszeci Mospana,

BIZARSKI.

Ba!



ZDAWNIALSKA.

To poydziem do prawa.

BIZARSKI.

Coż za opętana!

SCENA V.

BIZARSKI, SIECIECH, ELZUSIA.

Bizariski do Elżusi.

Wać to wszyscyemu winna, chcę wiedzieć,
zaco ty
Sprowadzasz mi do domu te babskie kłopoty.

do Regenta.

A ty, panie wdowkołow, zkądżeć ta ochota,
Będąc ponurym, ciężkim, uchodzić za trzpiota,
Y ty także pułtakiem chcesz być, day go katu!
Nie mówię jeszcze twemu świzczypałce bratu,
Ale ty! ty!

SIECIECH.

Tey wdowie dałem obietnicę,
Ktorą można bezpiecznie wywrocić na nicę,
Bo reškrypcya w myśli była uczyniona,
Jesliby mi bogatsza trafiła się żona;



Kiedy więc teraz ociec wydziedzicza brata,
Przez co moja potroynie zwiększa się intrata,
Kieruję w dom Wać Pana moje przedsięwzięcia,
Pieniążki wszystko robią, y teścia y zięcia.

BIZARSKI.

Dobrze mowi, prawdziwie, y ia się z nim
zgodzę.

ELŻUSIA.

Zeby tey dobrej mowy nie słyścić, od-
chodzę.

Bizarzki, do Sieciecha.

Zostańże Wać, tak zięciu, niech kto co chce
plecie;

Pieniądz wszystko szafuie, y rządzi na świecie,
Choćby łeb Salomona niebo komu dało?

Musi łapy polizać, gdy ma w trzosi mało.

Ale kto umie zbierać, a nigdy nie roni,

Choć większy truten, iak ty... każdy mu się
skłoni.

Kończmy, Zdawnialska ziszcze, że się z nią
powadzę,

A wam dzisiaj pod głowy sto tyśiączkow wfa-
dzą,

Gdzież



Gdzież się bawi Starosta tak długo czekany?
Podpiszmy, niż on przydzie.

ELŻUSIA.

Nie, oycze kochany,
Niech też y ja cokolwiek władnę mym szafunkiem,
Nie chcę się oddać tylko pod pewnym warunkiem.

BIZARSKI.

Coż ty sobie warujesz, moia głowo puła?
Ty mówisz...

ELŻUSIA.

Co mam w myśli niech wyrażą uła:
Niech nas tego wydzierstwa pożytek nie
mami,
Wszak się nie godzi karmić nieszczęsnego lza-
mi.
do *Sieciecha*.

Wydziedziczenie brata racz Wać Pan odwrócić,
Y nie chciey go bezecnym podstępem gołocić.

D



SIECIECH.

Ja zaś ? iakiego brata ? od pierwfzey mło-
dości

Nie miałem szczęścia widzieć tego Jegomości :
On to był trzecie oczko , mnie trzymano w
szkole ,

Kazano mi z Papierow potym trzepać mole ,
Y niżlim do sławania iak trzeba przywyknął ,
Już on z rodzicielskiego domu gdzieś był
zniknął ;

Słyszałem tylko potym , iak się pięknie spra-
wiał

Przez co nas wszystkich wstydu niemało na-
bawiał .

Niechby się tu pokazał teraz nieboraczek ,
Wiemy co z tym uczynić , wnet poydzie do
taczek .

ELŻUSIA.

A iuż też bardzo z tego gorzję się Mospanie ,
Także to czynią bracia ? tak to Chrześcianie ?
Więzić go , zabrać po nim , chętki miałbyś
szczere ,

Ja na to nie przyśląnę nigdy .

BIZARSKI.

Tere fere .



Ciszey ! już transakcyja ze wszystkim gotowa,
Nic nie brakuie, tylko podpisać dwa słowa.

SIECIECH.

Wszak to nasi przodkowie stanowią otwarcie,
Wolno sobie przeczytać na dwudziestey
karcie,

Gdzie Herbut tak opiewa „Syna rozpustnika,
„Który z oycowskich progów bez wiedzy
umyka.

„Lub ie niszczy, lub życie prowadzi wszę-
tecznie,

„Od wszelkiego następstwa oddaliśmy
wiecznie.

ELŻUSIA.

Ani w konstytucyach, ani ja w statucie
Czytywałam, lecz wnetrzną tak przeświadcza
czucie,

Ze to byli ci ludzie wcale bez sumnienia,
Mający rozum ciemny, y serce z kamienia,
Jeżeli w swoich xięgach nakazali kiedy,
By brat bratu dopuścił zaginać od biedy,
Natura y uczciwość mają swoje prawa ;
Więcey warte niż wafza w Herburcie uława.



BIZARSKI.

Eh ! porzućcie Herburta tego bałamuta.
Co ja zalecam zrobić, to dla was statuta.
Zaprzętać się tym starszym z kąd ty masz
ochotę ?

Wszak trzeba mieć doświadek.

ELŻUSIA.

A naypierwey cnotę,
Y kto go przesładuiąc wyrządza mu szkodę,
Ten moiey przeto ręki nie weźmie w nad-
grode.
Wyrzucmyż ten Artykuł, który sławę maże,
Interes go podszepnął, honor zetrzeć każe.

SIECIECH.

Własnego nie zna dobra !

BIZARSKI.

Już czas upłyniony
Chcesz ty mieć większy rozum niżli dwa pa-
trony.
Odmieniać intercyzę ?

ELŻUSIA.

Nie raz się tak czyni.



BIZ'ARSKI.

ELŻUSIA.

BIZARSKI.

SIECIECH.

BIZARSKI.



SCENA VI.

BIZARSKI, ELZUSIA, SIECIECH.

KLIMUNT *idzie pomatu zamysłony y
wzdycha.*

BIZARSKI.

A iakżeś nas, Tatusiu, tym późnieniem wędził!
Poydź, poydź, jużem ja Cokę na rozum
napędził.

A rufzayże się przecie poyzrzyżę we-
felo

Niebądź no taki ścierpły, rozfałduy to czoło;
Przed rokiem z dzieci naszych mieć będziem
prychowek;
krzesząc podkawkami.

Na to wspomnienie, ognia dobywam z pod-
kówek.

Podpisuymy

KLIMUNT.

W tym czafie nie mogę moy bracie.

SIECIECH.

A czemuż to nie można teraz ?

BIZARSKI.

Ot że macie.



Ji z temi pułgówkami co ia tu mam biedy!
Každy mowi, nie. Ale czemu? iak? y
kiedy?

Powiedzże.

KLIMUNT.

Przyrodzenia gwałciłbym przepisy,
Gdybym teraz miał czynić takowe podpisy.

BIZARSKI.

Oh! to już zapewne nasza Podstolina
Do nowych Ceregielow podburzać zaczyna.

KLIMUNT.

Tey niewiaśły pojętność w raz z'urodą zwię-
dła,
Prożne sobie nieboga chimery uprzedła;
Lecz nie zdoła rozerwać hymen ułożony,
Moie zaś umartwienia z inney przyzłystrony.

BIZARSKI.

To ten tyson podróżny co się dziś nagodził,
Może nam ziakiey miary tańcować przelisko-
dził?

KLIMUNT.

Co mi rzekł, musi przewlec wesełną godzinę.



ELŻUSIA.

Coż Mości Dobrodzieiu?

SIECIECH.

Jakąż to nowinę?

KLIMUNT.

On w Gdańsku mego syna w frogiey widział
nędzy,

Odartego, w chorobie, w głodzie, bez pie-
nędzy,

W więzieniu bez żadnego do życia sposobu,
Tęgość smutku y hańby włokła go do grobu,
Odieżdżał leżącego w śmiertelney pościeli,
Teraz go już zapewne wieczność od nas
dzieli.

BIZARSKI.

To już jego zupełnie wypłacona scheda.

ELŻUSIA.

Już miał umrzeć

BIZARSKI.

Smutek mu życia nazad nie da;
Wreszcie o ci do tego?



SIECIECH.

Patrz WaćPan iak zbladła,
Słabość na nią uderza, dobrze że nie padła!

BIZARSKI.

Ha! Machlerko! znam ja cię, mowięo tym
szkoda,
Ale ponieważ umarł, to y z nami zgoda.

SIECIECH.

Moy oycze na coź jednak . . .

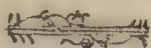
KLIMUNT.

Będzie ona twoją.
Ale przy dniu żałobnym gody nie przystoją,
Czyliż należy mięszać do takiego święta,
Trofki, ktoremi moja dusza w skroś prze-
ięta?

Y kwiaty, ktore macie na swych czołach,
nosić,

Łzami rodzicielskiemi nieprzyjemnie zrosić?
Day mi tedy, moy synu, ten dzieci do wzdy-
chania,

Y racz trofzkę odłożyć słodycze kochania.



ELŻUSIA.

Y mnie się dziś tym smutkiem będzie miley
dzielić;
Aniżeli na uczcie ślubney się weselić.

SIECIECH.

Ale iakże to będzie ?

BIZARSKI.

Gdzie rozum, gdzie głowa!
Y nacoż tu odwłoczyć kiedy rzecz gotowa?
Bo gdyby to dla kogo ale dla marnika
Ktoregoś wydziejcział iako niewdzięcznika.
Ktoregoś wyklął, czegoś smucić się daremnie!

KLIMUNT.

Z tym wszystkim głos natury odzywa się
we mnie,
Bolałem nieraz widząc jego winne sprawy,
Dziś boleję, że umarł bez żadney poprawy.

BIZARSKI.

A już mię też to bardzo, moy bracie, ob-
chodzi!
Lepszych się nawet rzeczy żałować niegodzi,
Bo się to na nic nie zda. Ale kiedy z ciebie
Przypadek ciężar zwałił, gdy hulakę grzebie,



Prawdziwie śmieszny jesteś z tym niewcze-
snym żalem,
Niebyłbyś ty żył długo z takowym synalem.
Nieraz iego szaleństwo zdrowia ci uięło,
Podziękuy niebu, że ci takie dziecko wzięło.

KLIMUNT.

Ah! z podwoynicy przyczyny będę we łzach
brodził,
Płacę, że teraz umarł, płacę, że się rodził.
odchodzi.

BIZARSKI.

Idź, za oycem zniewolgo na ten podpis
przyśtać,
Zawsze żywi z umarłych powinni korzyśtać.
Już nie czas zemną teraz stroić korowody,
Weź mu rękę, niech pisze. — Bieźże Panie
młody.

Choć ta rzecz, moja corko, zda się iść po
woli,

Ten wieczor wszystko skończy.

ELŻUSIA.

Eh! serce mię boli.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

SCENA I. WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

HOŁOTKIEWICZ.

Oy tak! tak miły bracie, byłem w twoim
domu,

Służyłem ci dwa roki, sam nie wiedząc komu;
Za coś się ty zwał Graffem, choć jesteś Pola-
kiem?

Dziś nas ubóstwo równa odzianych paklakiem.
Gdzie się owe podziały gry szumne, parady?
Zabawne damuleńki, rozkoszne biefiady;
Wszystko to kaduk spiśkał; wygaś to z pa-
mięci,

Co z dymem uleciało, niech próżno nie śmęci.
Wspomnienie straty szczęścia bol rodzi nie-
zmierny,

Ja zawsze Hołotkiewicz, mniej jestem mi-
zerny,



Cierpliwie biedę klepię, bom zaraz od młodu
Przywykł do niedostatku, niewczasu y głodu;
Wstydzi Cię ten kapelusz, re liche łachmany,
Ja takiemi na święto bywałem przybrany.
Y tobieby tak tkliwie smutek nie dogodził,
Gdybyś Hołotkiewiczem, iak y ia się rodził.

WALERY.

Jak wiele poniżenia z ubóstwem się wlecze!
Jeszczeż mię y ty biedny zawstydzaśz czo-
wiecze?

Pierśi moje rażących nie przydaway mieczy,
Bo co naygorzsa, czuję że mowisz do rzeczy;
Ale iednak nie wątpię o dobrej ochocie,
Chcesz mnie cieszyc, iak możesz, przy two-
iey prostocie,

Za grubzność twoiey duszy hoynieś mi od-
płacił,
Boś dla mnie w mey niedoli ludzkości nie-
stracił,

Y chociaż mię fortuna odbieżała śliska,
Wspieraśz mię pod ciężarem, który mię przy-
ciska;

Los moy wesoło znosiśz, kiedy mię krwią
bliscy,

Y przyjaciele nawet odstąpili wżyscy.



HOŁOTKIEWICZ.

Jacyż to są, których ty zowieś przyja-
cioły?

WALERY.

Widziałeś ich, gdy moje obśiadali stoły,
Gdy do mnie uczęszczali na ucztę wieczorne;
Chwaląc smak moich potraw, y trunki wy-
borne,
Ofiarując mi swoją pomoc w każdym czasie,
Wielbiąc mię przytomnego.

HOŁOTKIEWICZ.

O biedny głuptasie!
Któryś kiedy szczerości szukał w parafycie,
Nie zważał jak cię oszydzali skrycie,
Obiedli cię opium, brali upominki,
Z twej zbytniej rozrzutności strojąc sobie
drwinki.

WALERY.

Ja temu łatwo wierzę; bo kiedy nareście
W Gdańskim mię zasadzono za długi arefście,
Lubom się dosyć długo w tej ciemnicy mę-
czył,
Zaden z owych przyjaznych za mnie nie za-
ręczył;



7. tym, co się duszą prawie dzieliłem na poły,
Skorom do niego przyszedł, y chory, y goły;
Teraz, rękę, w przygodzie ratuy mię moy
bracie,

Bo już ieśm w oślatnicy y mizerney szacie.
On indziej wzrok obrocił, y chytro zanie-
miał,

Jak gdyby nigdy zemną znajomości nie miał,
Potym mię iak natręta za drzwi wyforował.

HOŁOTKIEWICZ.

Zaden cię nie pocieszał, żaden nie ratował.

WALERY.

Zaden, choć ich prosiłem o rzeczy zbyt
małe.

HOŁOTKIEWICZ.

Oy tacy przyiaciele beczelniki całe!

WALERY.

Ze skały pierś u ludzi.

HOŁOTKIEWICZ.

Jakże też kobiety?



WALERY.

Oszukałem się na ich offertach niestety!
Ta nad inne, która mię miłując tak iawnie,
O swym mi przywiązaniu prawda ustawnie,
W domu, którym iey moją upieknął szczo-
drota,

Kupowała miłośnych zdartą ziemie kwotę;
Częstowała ich winem z mey niegdy pi-
wnicy,

Kiedym ja z głodu konał na teyże ulicy.
Y tak Hołotkiewiczzu, gdyby nie ratunek
Starca, którego w Gdańsku zdarzył mi tra-
funek.

Który mię znał, iak mowi, gdym ieszcze
był w szkole,

Jużby była śmierć moje zakończyła bole.
Ale gdzieżeśmy teraz przyszli, mój kochany?

HOŁOTKIEWICZ.

Alboż ci to Kalifskie nieznałome ściany?
Mowią, że mój Pan dawny Bizarowski niejaki,
Tu teraz przemierzkiwa nayeżęściey.

WALERY.

Kto taki ?
Bizariski! który? mieszka tu pod teimi dachy?

HOLOT.



HOŁOTKIEWICZ.

Jest to imię iednego dziwaka rubachy;
Miałem honor u niego.... obracać pieczenie;
Lecz gdy mię w świat poniosło moje przeznaczenie,
Byłem potym węgrzynkiem, turkiem, wytykaczem,
Laufrem, krukiem; od krukow uciekłszy tułaczem,
Flisem; nakoniec w Gdańsku przysłałem do ciebie.
Może nam P. Bizariski w niniejszey potrzebie
Wyświadczy co, gdy wspomni na moje usługi.

WALERY.

Jakieś mu podziękował, iestże to czas długi?

HOŁOTKIEWICZ.

Trzynasty rok. Bizariski ma dwa charaktery;
Y pocieszny się zdawał, y pełen cholery.
W rzeczy samey człek dobry, corkę miał iedyną,
Roztropniuchne to było choć ieszcze dzieciną,

E



Kleynocik, a nie dziewczę, okolicy dziwy;
Ow nosek, owe oczka, ow rumieńczyk
żywy.

Miało to mego czasu sześć albo siedm latek...
Terazby to był właśnie do zerwania kwiatek,
Jeśli go kto nie zerwał.

WALERY.

Ah!

HOŁOTKIEWICZ.

Prożno ci prawić;
Nic cię moja rozmowa nie może zabawić;
Jajdarmo słowa tracę, ty wzdychasz głęboko,
Y w ustawiczney pławisz kąpieli twe oko.

WALERY.

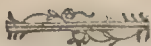
Czy ślepota przypadku... czy nieba zrządzenie...
Dolę moję miżerną na te mieysca żenie!

HOŁOTKIEWICZ.

Czemu się w te ciekawie wpatrując gospody,
Zamyslał się, y twoie łza kropi jagody?

WALERY.

Mam do tego przyczyny.



HOŁOTKIEWICZ.

Znaż ty Bizarłskiego?
Kto wie, może ty jesteś taki krewny jego?

WALERY.

Day mi pokoy, wspominać nie chcę o mym
 stanie.

HOŁOTKIEWICZ, *ściskając go.*

Ale moy przyjacielu, moy kochany Panie,
Coż ty za ieden jesteś, powiedzże mi przecie?

WALERY.

Jestem... szaleniec... głupiec najgorzszy na
 świecie;
Y gdybym ja był umarł zaraz po powiciu,
Smierćby mi była zyskiem.

HOŁOTKIEWICZ.

Lepiej myśl o życiu.
Umrzeć głodem równa się najstraszliwzhey
 męce,

Ale rachuy no dobrze, mamy cztery ręce,
Usłużmy sobie niemi odłożywzży żale.
Widzisz ty w tym ogrodzie kopiące gruntale,
Zaciąginy się między nie; to motyką rycie
Może nam dać y żywność, y grzbietu okrycie.



WALERY.

Ci ludzie podli zgięci w robocie bydlęcey,
 Znajdują pewnie od nas szczęśliwości więcey.
 Nie znużeni frasunkiem y sumnienia wojną,
 W ciałach zmocnionych duszę chowają spokoyną.

S C E N A II.

ZDAWNIALSKA, WALERY, HOŁOT-
 KIEWICZ.

ZDAWNIALSKA, w odległości.

Sądzęż dobrze, czy mi się przewróciło w
 głowie?

Wszak tego na kontraktach widziałam we
 Lwowie.

wpatrując się w niego.

Nie. Bo tamten był piękny, miał dosyć na
 zbytki;

A ten zaś, zdaie mi się, ubogi y brzytki.

zbliżając się do Walerego.

Ten sam, ale choroba musiała go zchłostać,
 Ubóstwo też odmienienia ielżcze gorzey pośtać.



HOŁOTKIEWICZ.

Ale czegoż chce od nas ten dziwotwor
babi?

Czy nas urzeka? czy nas swoim ślepiem wabi?

WALERY.

Coś mi, zem ią gdzieś widział, pomyśli się
toczy.

O moy Hołotkiewiczu! gdy te same oczy,
Ktore moię widziały świętość, widzą nędzę,
Te momenta w przykrości naydotkliwzszy
pędzę.

Idźmy ztąd.

ZDAWNIAŁSKA.

Moie dziecko, coż to za przyczyna
W taki cię stan wtrąciła?

WALERY.

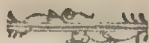
Moia własna wina.

ZDAWNIAŁSKA.

Miłyż Boże! iakże ci braknie teraz wiele!

HOŁOTKIEWICZ.

Tak nas to wysłrychnęli nasi przyjaciele;
Ze wŹyskiego nas ręką obrano niewierną.



ZDAWNIAŁSKA,

Przez kogoście zkrzywdzeni?

HOŁOTKIEWICZ.

Przez dobroć niezmierną.

Oh! nasi różboynicy są to zacni ludzie,
Grzeczne próżniaki w dworskiej ćwiczone
obłudzie,

Łykacze, mowcy, gracze, których dowcip
śynie,

Y uczciciele w domu, y ziemskie boginie.

ZDAWNIAŁSKA.

Już rozumiem, wszystkoście przełuli
marnie,

Ale sto razy większy smutek was ogarnie,
Jak się tylko dowiecie o nieznośnych szwan-
kach,

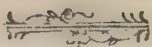
Ktore teraz na moich poniosłam kochankach.

WALERY.

Do nog upadam.

ZDAWNIAŁSKA.

Stoyże bo ja cię nie puszcę.
Będziesz mię, wiem, żałował iak, cierzecz wy-
łuszcę.



WALERY.

Już WaćPani żałuję.

ZDAWNIALSKA *przytrzymując go.*

Nie odeydziesz wprzód,
Poki ci choć ostatniey nie powiem przygody.
Gdyś we Lwowie porobił... burdy o kobiety,
Klechę oknem wyrzucił, pochłustał ba-
gnety,

Odchodzi WALERY, *Zdawnialska go*
goniąc mówi.

Sieciecha Dobruckiego Juryśle z rzemio-
ła,
Miłość do mego domu w rok potym przy-
niośła.
Ten zaś Sieciech Dobrucki, na tym teraz
gruncie
Mieszka przy oycu swoim staruszką Klimun-
cie.

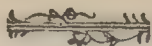
WALERY, *wracając się.*

Dobrucki z oycem swoim!

ZDAWNIALSKA.

Ha tak:

E 4.



WALERY.

A czy można!

Klimunt, ktorego dusza prawdziwie pobożna
Czyni dobrze, iak słysząc y myśli wspaniałe
Ma się znaydować...

ZDAWNIALSKA,

Takci.

WALERY.

Na tych mieyscach!

ZDAWNIALSKA.

Ale,

WALERY.

Mogę przynajmniej wiedzieć... w iakim
zdrowia stanie.

ZDAWNIALSKA.

W dobrym. Ale zkądże ci to prożne py-
tanie?

WALERY.

Coż też mówią...

ZDAWNIALSKA.

O kimże?



WALERY.

Wszak nie iedynaka
Ma Pan Dobrucki syna ?

ZDAWNIALSKA.

Drugi był hulaka,
Utracyusz, kosciera, przytym szalaowała,
Nie wiedzą, w ktore strony płochosć go wpę-
dzila,
Może go tam w tarasie dłużnik iaki więzi,
Może iuż gdzie nogami dynda na gałęzi.

WALERY.

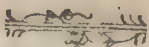
Zal mi bardzo.. żem przerwał WaćPani
rozmowę.

ZDAWNIALSKA.

Słuchayże tedy dalszą przygody osnowę:
Ten Sieciech chciał koniecznie bym mu by-
ła żoną.

WALERY.

Pewnie iuż mu WaćPani iesleś zaślubioną?



ZDAWNIALSKA.

Nie, bo go znowu nagle inſzy wiatr pod-
wionął,
Gdy cząstkę po ſwym bracie marniku po-
chłonał;
Jeſt tu Bizarſki bogacz a wielki maruda,
Tego corkę chce poiąć, ieſli mu ſię uda.

WALERY.

Co mi WaćPani mowiſz! iego corkę
bierze?

ZDAWNIALSKA.

Ledwie ſię ztąd nie wſciekę, przyznam ci
ſię ſzczerze.

WALERY.

Ah...on ſię waży ſięgać po rękę Elżbiety,
Ktorey mi Hołotkiewicz przedziwne portrety
Dopiero odmalował?

ZDAWNIALSKA.

Coż ten człek u licha
O wſzyſtko ſię fraſuje, y nad kaſzłym wzdy-
cha!



WALERY *na sronie,*

Już mi ten czas ostatni, odeymie życie.
do Zdawnialskiej.

Pokrzywdzenie WaćPani czuję należycie;
Y ieśli to cokolwiek odemnie zawisnie,
Upewniam, że ten jego nowy związek przy-
śnie.

ZDAWNIALSKA.

Większą nademną, niżlim mogła się spo-
dziewać,
Masz litość; mizeraki lubią ubolewać:
Wiem żeś mnicy o tey myślał miłośnierney
cnocie,
W ten czas, gdyś się przewalał po frebrze y
złocie.
Słuchay, winniśmy sobie dopomagać fformie.

HOŁOTKIEWIČZ.

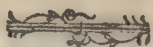
Dopomoże nam Pani, prosiemy pokornie.

ZDAWNIALSKA.

Do niektórych czynności chciałabym cię
użyć.

WALERY.

A w czymże ja WaćPani zdołałbym usłużyć?



ZDAWNIALSKA.

Jak się lepiej zfrzyzuiesz y odmienisz odzież,
Można cię ieszcze wliczyć między piękną
młodzież,

Masz przyjemną wymowę, masz y dowcip
gładki;

Umiesz iak trzeba sławiać na dziewczęta siatki,
Zrobże tak: wkręćże mi się do Sieciecha
domu

Świeć mu bakę otwarcie, szkodź mu pokry-
iomu,

Gdy ia pozew na pozew iemu będę walić,
Ty się staray Elzusi ferduzko rozpalić.

WALERY *widząc wchodzącego oycę ucieka.*

O! przebog....

ZDAWNIALSKA.

Gdzie ty bieżyysz? postoy nie
uciekay!

HOŁOTKIEWICZ.

WMPani się suadź boi.

ZDAWNIALSKA *bieżąc za Walerym.*

Ty, tchorzu, poczekay!



S C E N A III.

KLIMUNT, HOŁOTKIEWICZ.

KLIMUNT.

Ten nieborak zaledwie odemnie doyżrzany,
Roziątrza niezgoione ferca mego rany,
Mina iego ucziwa, wiek y ułożenie,
Niezwykłe iakieś wemnie budzą poruszenie:
Ile kroć widzę kogo w nieszczęśliwym stanie,
Zaraz mi moy zginiony syn na myśli stanie;
Ten syn, albo iuż umarł, albo w biedzie
ięczy,

Albo w rozpuszcie tonie, y tym oyc a męczy:
Dolegliwości do mnie zewszecz stron się
kwapią:

Dwoch tylko miałem synow, obydw a mię
trapią;

Jeden, że stracił życie, lub go źle używa,
Boleścią rodzicielskie wnętrności przeszzywa;
Drugi w swywołę wpada znaiąc swoją gorę,
Ze tylko na nim samym zakładam podporę:
Życie me iuż nieznośne zdaie mi się brzemię.

*Postrzegając Hołotkiewicza, że mu się
kłania.*

Czego chcesz, przyiacielu?



HOŁOTKIEWICZ.

A Pan, poznałże mię?
Ja to ow Hołotkiewicz; pocziwy czelada,
Ktorem się u Pańskiego wychował sąsiada.

KLIMUNT.

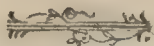
Tyżeś to ieśt, moy bracie? czas nas wszy-
stkich zmienił,
Y mnie czoło poradził, y głowę wyenił.
Kiedys się ztąd oddalał, byłem ieszcze chyży,
Ale się wiek posuwa, y koniec się bliży.
Toś się przecie w oyczyście nazad wrocil kąty?

HOŁOTKIEWICZ.

Już to rok tych biegusow trzeci y dziesiąty:
Prożnom się iak żyd włoczył przez rozległe
kraie,
Wszędy szczęście przedemną uciekać się zdaie,
Jak mię ztąd wyprowadził, tak przyniośł nie-
statek.

KLIMUNT.

Popraw się, ia twoy zechcę wspomodz nie-
dostatek.
A ten drugi mizerak także z tobą biega
Co teraz uciekł?



HOŁOTKIEWICZ.

Jeſt to ... ieſt to moy kolega;
Chudy derbiſz, nie ma nic, zgłodniały iak
y ia;
Chcemy ſię gdzie wſrubować, ieſli ſzczęście
ſprzyia.

KLIMUNT.

Mogłbyſm ia wam gdzie mieyſce wynaleſć
obiema, |
Tamten ma obyczaje dobre?

HOŁOTKIEWICZ.

Pewnie że ma.
Procz tego, ma y wiele nabytych przymio-
tow,
Ryſnie troſzkę, zagrać na ſkrzypczkach gotow,
Piſze, y milliony w momencieby zliczył;
Zgoła w wielu ſię rzeczach ten czerkies prze-
ćwiczył.

KLIMUNT.

Jeſli tak? macie mieyſce u moiego ſyna;
On ſię żeni, y ſwoy dwor pomnażać poczyňa;
Jeden takżę z ſłużących ſwieżo ſię odprawil,
Y ten do zapełnienia mieyſce wam zoſtawił.



Dziś w wieczor mój syn z wami sam o tym
pogada,
U Pana Bizarzkiego, moiego sąsiada.
Ukartuję ja tę rzecz wprzody bez zawodu.
Bądź zdrow Hołotkiewicz, masz na garniec
miodu.

S C E N E IV.

HOŁOTKIEWICZ *ſam.*

Ah! godny Pan! zacny Pan! w tym ze-
pŹutym wieku,
Ktoby mogł by! pomyŹleć o takim człowieku!
To Źerce dobroczynne, ta dusza bez Źkazy,
Staropolskiego czaŹu wyŹtawia obrazy.

S C E N A V.

WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

HOŁOTKIEWICZ, z radością ścisnąc
go za szyję.

Już mam dla ciebie miejsce w domowni-
 kow zgrań,
 U Dobruckiego będziemy oba za lokai.

WALERY.



WALERY.

Ah!

HOŁOTKIEWICZ.

O! y czegoż znowu tak przewracasz oczy,
Jak opętany, gdy go xiądz kropidłem zmoczy?
Zkąd takie zadumienie? te wtorzone łkania?

WALERY.

Upadam pod okrutnym ciężarem zmie-
szania.

HOŁOTKIEWICZ.

Coż ci?

WALERY.

Z'mego zmieszania powinienbyś dociec,
Ten starosta...

HOŁOTKIEWICZ.

Coż tedy?

WALERY.

Ah! wszak to moy ociec.

HOŁOTKIEWICZ, z zadumieniem.

On, Panie Dobrodzieciu!

F



WALERY.

Jam to, mój kochany,
 Ten młodzian nieszczęśliwy, ten syn okrzy-
 czany;
 Ten zbrodzień, który głowy rażony za-
 wrotem,
 Napelnił pokrewieństwo smutkiem y kło-
 potem.
 Skakało we mnie serce, na oycę weyrzenie,
 Chciałem mu nieść pod stopy me upoko-
 rzenie,
 Ale bałem się.

HOŁOTKIEWICZ, z uniżonością.

Proszę odpuścić mi Panie,
 Mojej poufałości zbytne używanie.

WALERY.

Mój unyś okropnemi skołatany razy,
 Nie jest sposobny uczuć tak drobne urazy.

HOŁOTKIEWICZ.

WaćPan więc jesteś synem męża wielkiej
 cnoty,
 Ktorego wszyscy wielbią chwalebne przy-
 mioty,



Obydwa, prawdę rzekłszy, sławnicie w tym
kraiu,
Ale synowska sławność, innego rodzaju.

WALERY.

Y toć jest, co mię frogą przenika ża-
łobą.
Powiedźże mi, moy oyciec co też mówił
z tobą?

HOŁOTKIEWICZ.

Kiedym mu rzekł, iż chcemy iść za służe-
bniki,
Chłopce darskie, ćwiczzone a nagie, iak byki.
Obydwu nas starosta do litości prędkie,
Obiecał do regenta dać za wiercipiętki;
Do tego syna, który bratnią częstkę zyskał,
Y dziś będzie Elżusię według prawa ścisłał.

WALERY.

Przykrość w długim milczeniu znosząc ie-
dnośtainie,
Już teraz duszy moiej odkryję ci tajnie.
Przywieźdź sobie ciągłemi występku oguiwy,
Oyca kochającego impet zapalczywy,

F ■



Z dziedzictwa wypisanym, wyklętym być
z domu,
Strażliwego doznawać ubóstwa ogromu,
Widzieć dane starostwo y dział mój młod-
szemu,
Być fromotnie zepchniętym do służenia temu,
Który mi wszystko odiał arcy niełaskawie;
Ten jest los mój, na który zasłużyłem prawie:
Ale gdy mię zupełnie przeciwność odarła,
Gdy nawet sama wemnie nadzieja umarła,
Jeszcze się we mnie zawiść odzywać ośmiela.

HOŁOTKIEWICZ.

Jaka zawiść, y czego?

WALERY.

Elżusi wesela.

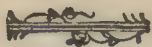
HOŁOTKIEWICZ.

Już też żeby być pierwszym w rozpustni-
kow cechu,

Tego jeszcze WaćPanu brakowało grzechu,
A wszakże są uczynne liczne białogłowy,
Na coż tę poządliwość zwracać do bratowy!

WALERY.

Nie wiesz okoliczności (bo mniemam już
wtedy,
Z pomiędzy Bizarskiego wyszedłeś czeready)

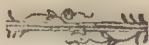


Iż gdyśmy poczynali wyrastać z dziecińy,
Rodzice umowili nasze zaślubiny,
Wszystko nas koiarzyło, podobne igrzyska,
Gust iednaki, wiek bliski, ościenne siedliska;
Tak umyślnie sadzone młode dwa derenie,
Rosną społem, by swoje połączyły cienie,
Czas y miłość, nowemi krasły ią dary,
Y coraz uprzejmości przypuszczały miary.
Wtedy byłem rzetelnie szczęśliwy na ziemi;
Lecz młody, lekkomyślny, z bratany ze-
złemi,

W rozpasaney swobodzie pogrążony cały,
Czyste poczęłem wzgardzać Elżusi upały.
Gdy potym namiętności nazbyt tegie siły,
Gwałtownie przeznaczeniem moim zamąciły,
Ich wirem uniesiony w dalekie wygnanie,
Wszystkom stracił, samo mi zostało kochanie.
A niebo nieprzebytą kładące przegrodę,
Wraca mi ferce czule, na mą cięższą szkodę.

HOŁOTKIEWICZ.

Jeśli pierwszy WaćPanem ogień znowu
włada,
Taką rzeczą Zdawnialskiey nie zła była rada,
Y gdy niemiłosiernie złe szczęście nas goli,
Miłość może dopomodz do wysię z niedoli.



WALERY.

Ja miałbym się pokazać przed okiem El-
żuni,
Po tylu wykroczeniach w tak bezecney guni,
Od oycy, od kochanki bożym zwany bi-
czem,
Muszę przed ich oboygą unikać obliczem;
Gdy mię nieposłuszeństwo y niewdzięczność
hydzi,
Nie wiem kto mię z nich dwoyga bardziey
nienawidzi.

S C E N A VI.

SIECIECH, WALERY, HOŁOTKIE-
WICZ.

HOŁOTKIEWICZ.

Mospanie! otoż regent nadchodzi podo-
bno.

WALERY.

Mało go znam; bośmy się chowali oso-
bno.

SIECIECH.

Już się nie miał nakoniec moy ociec czym bro-
nić,
Y na me nalegania musiał się nakłonić,



Jakem się wziął obrotnie z nim spierać y
pieścić.

postrzegając Hołotkiewicza.

Gdzież są ci ludzie ktorych mam przy sobie
mieścić?

HOŁOTKIEWICZ.

My to jesteśmy oba, pozwól się Pan witać
Z iak naygłębszą pokorą.

SIECIECH.

Ktoryż umie czytać?

HOŁOTKIEWICZ.

Tanten.

SIECIECH.

Wy to jesteście widzę towarzysze,
A ten co czytać umie, może także piśze?

HOŁOTKIEWICZ.

Y iak! liczyć, cyfrować, a że się Pan
zdumie
Nad iego pojętnością!



SIECIECH.

A mowić nie umie?

HOŁOTKIEWICZ.

Bo to on bojaźliwy, do tego schorzał.

SIECIECH.

Z tym, wszystkim, z ułożenia zda się do-
fyć śmiały,
Y ogień należyty widać z iego zrzenic.

do Walerego.

Wiele będziesz chciał płacy za usługi twe?

WALERY.

Nic.

HOŁOTKIEWICZ.

Ah! Mospanie, my mamy bohatyrską
duszę.

SIECIECH.

Ha, kiedyś tak niedrogi, to cię przyjąć
muszę.



Będiesz moim słuźalcem, dam ci w dozor
konie,
Podź zamnă, pokażę cię zaraz moicy żonie.

WALERY.

Zonie WaćPana?

SIECIECH.

Tak jest; ia się teraz żenię.

WALERY.

A kiedy?

SIECIECH.

Dziś w wieczor.

WALERY.

Ah! proszę uniżenie...
Jey tedy ieśteś WaćPan wdziękami zchwytany?

SIECIECH.

Zapewne.

WALERY.

Mospanie!...



SIECIECH.

Hę?

WALERY.

Czy ieśteś kochany?

SIECIECH.

A iakże! Lecz to mało należy do sługi.

WALERY, *na stronie.*

Karałbym go za tyle szczęścia bez zasługi.

Jakże mię to wyznanie do żywego tknęło!

SIECIECH.

Co on przebéknał?

HOŁOTKIEWICZ.

Tak musię też to wypsnęło.

SIECIECH.

Coż przecie?

HOŁOTKIEWICZ, *pomieszany.*

On powiada, ... że życzyłby sobie...
Mieć przymioty, co Panma, y być w rowney
dobie.



SIECIECH.

Wierzę. Ale ten chłystek coś hardy nie-
zmiernie;

No, chowaycież się trzeźwo, pocziwie, y
wiernie;

A język za zębami trzymać, iak za wałem.

Szkodę zaś macie płacić, y workiem y ciałem.
Chodźcie za mną laydaki.

WALERY.

Wiem, że mi ią spłaszczę.
Jak go palnę tą pięścią w wyuzdaną palszczę.

HOŁOTKIEWICZ.

Nie barzoś się ty iefzcze poprawił, moy
Panie!

WALERY.

Prawda, nie podległego nie czynimy naganie,
Z tylu przygod przynaymniey to mi będzie
zyskiem,
Ze się w uczę cierpliwie obchodzić z uciskiem.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

ZDAWNIALSKA, WALERY, HOŁO-
TKIEWICZ.

ZDAWNIALSKA.

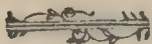
A co? nasza intryga iakże się ziściła?
Wykonałeś to wszystko com ci namieniła?
Wplątałeś się między nich przez chytrości
ścieszki,
W pozorach życzliwości rozniecać zamieszki?
Chwaliłeś, już Regenta y rozum y mienie?
Widziałeś Pannę młodą?

WALERY.

Niestety! jeszcze nie.

ZDAWNIALSKA.

Czemuż to?...



WALERY.

Szczerze mówię, że pragnę usilnie
Rzucić się pod iey stopy.

ZDAWNIALSKA.

Zrobź to, a pilnie.
Szturmuy do niey serdecznie, byś iey miłość
wzbudził,

A mnie wroć niewdzięcznika, który mię
ołudził.

Ja dla twoiey przyślugi zaczę nie leniwo
Pieniać, ty zaś dla moiey zalecay się żywo.
Day sobie owę gradzką y podboyczą minę,
Ktora do poddania się zniewala dziewczynę,
Jeśli chcesz być szczęśliwym przybierz śmia-
łość dawną.

WALERY.

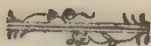
Nie mam iey.

ZDAWNIALSKA.

Zkądże twogę postrzegam tak iawną?

HOŁOTKIEWICZ.

Jak przeciw Regentowi możemy być śmiali,
Kiedysmy oba teraz do niego przyśłali!



ZDAWNIAŁSKA.

Głównie. Teraz potrafisz całą rzecz zamatać,
 Kiedy będziesz od niego z karteczkami latać;
 Wiele nam to do naszych zamysłów pomoże.

HOŁOTKIEWICZ.

Coś widzę za stworzenie, y ładne y hoże,
 Od Bizarzkiego progow ku nam sunie kroki.

ZDAWNIAŁSKA.

Terazże się pal do niej, tylko bez od-
 włoki:
 Ale coż to uważam drżysz, ięczyysz, y słocha-
 chasz!
 Czy się ty zaś pocziwcze do prawdy nie kocha-
 chasz?

WALERY.

Gdybyś WaćPani znała moje wewnętrzne męki,
 Pewnieby cię te słuszne nie dziwiły ięki.

HOŁOTKIEWICZ.

Jakie się to prześliczne dziewczę uczyniło!
 Gdyby róża rozkwitła! aż patrzeć miło.



WALERY.

O! rozpaczy.... gdy myślę nad szczęsnym
rywalem,
Umieram rozszarpany miłością y żalem.

ZDAWNIALSKA.

Do zobaczyska; idę wzajemną koleją
Służyć ci?

WALERY.

WaćPani mię ożywiaasz nadzieją.
Rob zwłoki, ieśli możesz.

ZDAWNIALSKA, *odchodząc.*

Ty czyi z twoiey strony.

WALERY.

Jakże cały niezwykle ieśtem zatrwożony!

HOŁOTKIEWICZ.

Gdy WaćPan dawne żadaasz kochania od
nowić,
Trzebaby z nią bez drugich słuchaczow po-
mówić,
Może nam wiatr pomyslny aby raz zawiecie;
Ja odchodzę.



WALERY.

Coż czynię! co się 'zemną dzieie!
Oh! nie zniosłbym iey oka, umykam za tobą.

SCENA II.

ELZUSIA, FIDELSKA, HOŁOTKIEWICZ *w końcu teatrum*, WALERY *głębiey*.

ELZUSIA.

Wchodzę, wybiegam; fama uciekam przed
sobą.

Prożno w ofobność idę, prożno się odurzam.
Jeśli w głębiny serca myślą się zanurzam,
Im więcej w nie zaglądam, więcej mię przekona,

Ze szczęśliwość na świecie nie dla mnie stworzona:

Momencik mi ulżenia ta Zdawnialska sprawa,
Która do naszych ślubów zawady wystawia;
Ale co znowu moje powiększa katownię,
To, że tym bardziey regent z moim oycem
rownie

Naglą Pana starostę, a może w tey chwili
Do zupełnych zakończeń inż go przynagliłi.

FIDELSKA.



FIDELSKA.

Nadto powolny starzec; każdy go żaluje;
Ze się tak Regentowi temu powoduje.

ELŻUSIA.

Bo w nim tylko nadzieja została jedyną:
Coż ma czynić, starzega gdy utracił syna?
Z drugiego się przynajmniej spodziewa pod-
pory.

FIDELSKA.

Rozeszła się pogłoska, że tamten był chory,
Ale nie masz pewności, czyli zeszedł z świata.

ELŻUSIA.

Dla mnie zawsze zostać smutna alternata,
Lub umarłego płakać, lub się żywym brzy-
dzić.

FIDELSKA.

Nie chciałabym WaćPanny o nieśzczerość
wstydzić,
Tylko tyle przytoczę, że często zważała,
Ileś WaćPanna razy od kogo słyszała



Jego niebepieczństwa, iego poniewierkę,
Niedogasły miłości znać było iskierkę.

ELŻUSIA.

Procz miłości, godzi się łosem oplakany
Wzruszyć.

FIDELSKA.

Jednoć jest umrzeć, a nie być ko-
chany.
To już, widzę, będziemy żonką w jego rodzie.

ELŻUSIA.

Moja Panno, to słowo na wylot mię
bodzie.
Wszak zdawna wiesz oziębłość moję dla Re-
genta,
Jak te związki okrutne zdają mi się pęta!
Jest to kielich piołunu, który w frogiey doli,
Nie ze smakiem, lecz przyjąć mużę ponie-
woli.

HOŁOTKIEWICZ, *ciagnąc Fidską za
suknię.*

Czyli bez przeszkodzenia Panienko nadobna,
Możnaby ci powiedzieć parę słów z osobna?



FIDELSKA, *idąc za nim.*

Z ochotą.

ELŻUSIA.

O! fortune mało litościwa!
Czemużes nie zerwała dni moich przędziwa,
W on czas, kiedy Walery przez wiarę zmien-
niczą,
Wszystkie godziny moje przeraził goryczą!

FIDELSKA.

Od Regenta widziałam iakiegoś czło wieka,
Ktory ma coś WaćPannie powiedzieć,

ELŻUSIA.

Niech czeka.

FIDELSKA *idąc do Hołothkiewicza.*

Panie bracie, poczekać Imćś roskazała.

ELŻUSIA.

Nie będę y momentu spokoynego miała
Ten Regent, albo mię sam ustawicznie nudzi,
Albo mię w oblężeniu przez swych trzyma
ludzi.

Eh! iuż mi to małżeństwo kością w gardle
stoł.



HOŁOTKIEWICZ *do Fidelskiej.*

Wyiednay nam momencik, proszą słudzy
twoi.

FIDELSKA, *powracając do Pani.*

Jego proźbie pokorney nie można się
zbronić

ELŻUSIA.

Już on widzę koniecznie chce mię ztąd
wygonić.

FIDELSKA.

Ale ten ktoś powiada, iż w teyże godzinie,
Jeśli mówić z WaćPanną nie będzie, to zginie.

ELŻUSIA.

Podźmyż się gdzie przed temi natrętami
schować.

SCENA III.

ELŻUSIA, FIDELSKA, WALERY *wspierając
się na HOŁOTKIEWICZU.*

WALERY.

O! moy Hołotkiewicz rączę mię ratować,
Pot zimny mię oblewa y ślapić nie mogę.



HOŁOTKIEWICZ.

Day WaćPan rękę, poydźmy zaśląpić iey
drogę.

WALERY.

Mdło mi... się się mowić, ale nadaremnie.
do Elżusi.

Dozwolisz Pani...

ELŻUSIA, *nie patrząc na niego.*

Czego Waśceć chcesz odemnie?

WALERY *na kolanach.*

Czego chcę... łaski pragnę, żeby mię kto
dobił.

ELŻUSIA.

O Nieba coż ia widzę?

FIDELSKA.

A coż on tu robił?

Nasz Walery! moy Boże! iakże on się zmienił.

WALERY.

Zmieniłem się, ztąd się też chyba będę cenil;
Już ia więcey nie jestem owym winowaycą,
Ani owym niewdzięcznym serca twego
zdraycą;



Na którego głos ludu powszechny powstawa,
 Za przestępstwo natury y miłości prawa.
 Młodość moja niebaczna z dobrej zszedłszy
 drogi,

Wszystkie mych społeczników przeięła nałogi.
 To zaś za nayszczerzą poczytuję skazę,
 Ze sobie zasłużyłem na twoię urazę,
 Przez cnoty (którym nigdy miał) zaszczyt
 święty,

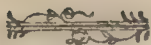
Przez twych oczą zwyciężkie przyśiegam po-
 nęty.

Zem poznał błędy moje, że żałuję za nie.
 W pierśi mey zbrodnia miała przechod, nie
 mieszkanie.

Płomienie, których nigdy czystą władzę
 znamy,

Wszystkie wemnie dawniejsze wypaliły plamy,
 Ich jasność moje teraz rozegnała cienie,
 Y do widzenia ciebie zbudziła pragnienie.
 Nie chcę rwać nowych związków, gdzie cię
 miłość woła,

Niefortunny mieć takich zamyśłow, nie zdoła.
 Ale kiedy nieszczęścia, y smutki, y bole
 Sprawily, że już jestem jedną nogą w dole,
 Kiedy się już okropney staie śmierci plonem,
 Szukam cię jeszcze, Pani, na chwilę przed
 zgonem;



Tobie dawniey przeznaczon, dziś mam dość
korzyści,
Jeżeli umrę wolen od twej nienawiści.

EBŻUSIA.

Ledwiem przyszła do siebie po takim wi-
doku!
Tyżes to? ty moiego ieszcze szukasz wzro-
ku?
W jakim stanie? w iaki dzień w te wchodzisz
pokoie?
Ah! iakżes nas ty frodze pokrzywdził oboie!

WALERY.

Znam wielkość tych występков, ktoremi
się brzydzę,
Jeszcze mi się więkzemi здаią, gdy Cię widzę;
Skarany za nie jestem, lecz ieszcze nie wmiarę.

ELŻUSIA.

Y iakże, nieszczęśniku! y mogeż dać wiarę,
Ze w tym sercu zmiękczoneym od przykrości
młota,
Z tak wielu się przypadkow narodziła cnota?



WALERY.

Coż po tym, że mi cnota daie oświecenie!
Nierychło iey postrzegłem czei godne pro-
mienie:

Prożno iuż teraz życie nieskażone wiodę,
Jeśli tey cnoty w tobie utracam nadgrode.

ELŻUSIA.

Ale mamże zaufać, że ci twoie męstwo
Dało nad samym sobą otrzymać zwycięztwo?
Powiedz, czyli nie prożne łudzą mię chimery,
Mogłżebyś iuż być teraz cnotliwy y szczerzy.

WALERY.

Jeśtein nim, bo cię moie serce czei nie-
zmiernie.

ELŻUSIA.

Ty, Walery, ty miałbyś kochać ieszcze
wiernie?

WALERY, *do Elżusi, która płaczące oczy
chustką sobie zastania.*

Czyli cię ieszcze kocham, Pani! ah! przez
czyię,
Jeśli nie przez miłości łaskę, dotąd żyję?



Straciwszy aż do sławy cierpiąc takie męki,
Już, już nie raz od własney miałem poledz
ręki;

W okropnościach, których mi pamięć włosy
ieży,

Oszczędziłem me życie, bo tobie należy.

Rozum, iestestwo, zdania, które się mi czy-
fzczą,

Y te dni, które jeszcze może mi zabłyśzczą,
Wszystko tobie winienem. Proszę, nie kry-
że mi

To czoło ozdobione wdziękami nowemi;

Patrzay na mnie chociaż mię zmieniły zgry-
zoty,

Uważ okrutne dzieło niezmierney tęsknoty;

Frasunek, długie troski, nieustanne smutki,

Swey mocy na mey twarzy wyraziły skutki,

Zwiędniałem teraz, ale racz na mnie poglądać,

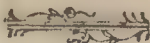
Tego jeszcze przynajmniey śmiem od ciebie
żądać.

ELŻUSIA, słabym głosem.

Jeśli ci się roztropność y stałość wróciły,
To dosyć; w oczach moich będziez arcy-miły.

WALERY.

Co mówisz? oczka twoje we łzach, widzę,
brodzą!



ELŻUSIA, *do Fidelskiej.*

Ah! wspieray mię Fidelska, zmyśliły mię
odchodzą.
Jabym miała być kiedy jego brata żoną!...

do Walerego.

Widziałeś już twarz oycy przez cię za-
finuconę?

WALERY.

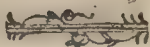
Za moiey rozwiozłości puszczony zagony
Wstydzę się, będąc winny, będąc obśądzony;
Gdy teraz pod ciężarem jego gniewu stękam,
Szczerze go kocham, ale widzieć się z nim
lękam.

ELŻUSIA.

Y cożś sobie czynić nakoniec ułożył?

WALERY.

Jeśli niebo dopuszcza, żebym ieszcze pożył,
Jeśli cię ślub z mym bratem nie może ominąć,
Na wojnie ograniczney będę szukał zginąć;
A imię z moim oraz przytańwzły stanem,
Prosty żołnierz na walki poydę z bisurmanem.



Może moiey szczęśliwe broni przeznaczenie,
Chwałę dla mnie, y twoie pozyska westchnie-
nie;

Przez takowe rzemiosło honor się nie kali.
Strażewski y Sybilski tak rozpoczynali.

ELŻUSIA.

Takowa rozpacz, będąc piękney duszy zna-
kiem,
Świadczy cię być szlachetnie myślącym Pola-
kiem;
Y więcey mię upewnia o dobrych pochopach,
Niżeli te łzy, ktores przy mych ślęczył ślōpach.
Jeśli rządzić mą ręką będzie mi się godzić,
Nie trzeba ci po szczęście tak daleko chodzić.

WALERY.

Moie cierpienia twego rozrzewniły ducha.

ELŻUSIA.

Wzruszały mię, lecz twoia zapala mię
skrucha.

WALERY.

'Coż to? zrzenice Pani gniewne przez czas
długi,
Spuszczają się ku oczom uprzejmego sługi?



Y który moich zbrodni przygasila fala,
 Ogień, ow święty ogień znou się rozpala ?
 Ah! iesli w niesłuszności bracišek uparty,
 Pragnie dział moy zatrzymać od oycy wy-
 darty,

Ja się iednak szczęśliwszym mogę nadeń liczyć,
 Kiedym go w twym potrafił sercu wydzie-
 dzieczyć,

Już iestem na naywyższym pomysłności kresie.

FIDELSKA.

Otoż do nas Regenta iakiś kaduk niesie.

ELŻUSIA.

Pokryi twoie wzruszenia, niech się niewy-
 dawa

Tajemnica.

WALERY.

Na coż to? kiedys iest łaskawą.

ELŻUSIA.

Ah! obawiaj się ieszcze, moy miły Wa-
 lery,

Upředzeń moich krewnych, y oycy cholery,
 Twoy brat iuż widział, żeś się z moią ręką
 bawił,

Trzeba, byś się przynaymniey przed nim nie
 obiawił.



SCENA IV.

ELZUSIA, FIDELSKA, HOŁOT-
KIEWICZ, SIECIECH *ieśćcie*
zdaleka, WALERY *tyłem się*
do niego obraca.

SIECIECH.

Coż to jest? czy ki diabeł nagle mię za-
slepił,
Czy się ten włoka do niey doprawdy przy-
czepił.

Zbliżając się do Walerego.

A ty to, oszarpańcze, ważyysz się mię zdra-
dzać?

WALERY, *z gniewem.*

Co ty....

HOŁOTKIEWICZ, *wpada między nich.*

Eh! nietrzebaby, Mośpanie, przeskła-
dzać,

Przypatrzyłbys się WaćPan cudowney od-
mianie,

Bo to tu był y respekt, było y poznanie;
Y cnota.... aże cały w zadumnieniu tonę.



SIECIECH.

Cnota? hułtaiu! cnota? całować mi żonę.

WALERY.

Gdybym....

SIECIECH.

Z tego wszystkiego nie rozumiem

keśa;

Jeden opryszek! gałgan! który się wałęsa,
Ktoregom z miłosierdzia dopiero przytulił,
Y już się w poufałość Dobrodzieyce wluł!

Elżusia, do Walerego chcącego mówić.

Milczże.

SIECIECH.

Będiesz na haku, miew pewną na-
dzieję.

dó Fidelskiej.

Ty się śmieiesz, poganko!

FIDELSKA.

Prawda, że się śmieję.

SIECIECH.

Y z czegoż się ty śmieiesz?



FIDELSKA.

Alé... ziedney rzeczcy.

SIECIECH.

Radziłbym ci się zemną mieć na więkzey
pieczy,
Wieszli, moja kochana, pozwanym przez takty*
Co robią urzędownie takim dziewczom, iak ty.

FIDELSKA.

Czemuż zaś nie mam wiedzieć?

SIECIECH.

A nasza Elżusia?

Jak żeby to nie o niey, stoi gdyby trusia:
A piękną do miłostek wybrałaś ofobkę!
Przedniąś mi pokazała uczciwości probkę,
Na godzinę przed ślubem.

ELŻUSIA.

Nie bądź WaćPan skory,
Nie potępiay niewinnych na płonne pozory.

SIECIECH.

O moje niewinniątko!

* *ex termino tacto.*



ELŻUSIA.

Dokładniey poznana
Me czyny od WaćPana będą szacowane.

SIECIECH.

Tę nowu ofobliwiza do szacunku droga!

WALERY.

Już też to tego nadto.

ELŻUSIA, *do Walerego.*

Wstrzymaj się dla boga!

WALERY.

Nie ścierpię, że ten człowiek przykrey pe-
-len buty;

Nieprzyzwoite czyni WaćPannie zarzuty.

SIECIECH.

A znalazz to, moja Panno, że według ustawy
Mogłabyś dożywocia pozbyć, y oprawy?
Y twego wniosku nawet? bo są prawa różne
Na białogłowy cudzo....

WALERY, *przerzuwając mu, z impe-
tem, bierze się do szpady.*

Porzuć słowa próżne, ..

Bo....

SIE-



SIECIECH.

Jeszcze mi przegrażałz twoją miną leśną?

ELŻUSIA, *do Walerego.*

Jak mię kochałz, przysmierzże poryw-
czość niewczesną.

WALERY.

Panie Regencie, życzę zniżyć trochę tony,
Bądź cokolwiek względniejszy, a mniej na-
przykrzony,

Wszakże ta dama nie jest metressą WaćPana,
Ani ci też w małżeństwo nie była oddana.

Y za coż te furye? na co te wywody?

Trzeba było Jeymości podobać się wprzody,
Wtedy miałbyś iedyne prawo do iey ręki:

Lecz to nie dla WaćPana stworzone te wdzięki,

Nie bardzo ci przystoi być zawilnym onie.

Niechże tedy WaćPana ten impet opłonie,

Ktoregobym nieznosił, gdyby nie iey wola.

SIECIECH, *niby gotując się do bitwy.*

Ainż też niewytrzymam. Moi ludzie! hola!

WALERY.

Jako?

SIECIECH.

Biegay po wartę.

H



ELŻUSIA, do *Walerego*.

Oddalże się proszę.

SIECIECH.

Zaraz ia wam tu tego szubrawca przepłoszę;
Nauczę ia go mores, co on swemu Panu,
Co za względuy zacności mego winien stanu.

WALERY.

Lubo się to WaćPanu może zdaie dziwnie,
Lecz tych względow cokolwiek winienes prze-
ciwnie.

SIECIECH.

Kto? ia?... ia?

WALERY.

Wafzeć iespan.

SIECIECH.

To dziki kawalek.
Zapewne to musi być maszkowany śmiałek.
Co ty za diabol iestes? powiedz.

WALERY.

Nie wiem poty,
Losy moiego stanu, y własney iłoty;



Szczegulnie od tey Pani zawisły dobroci;

SIECIECH.

Zawisną wnet od sądu, który cię ukroci,
Aresztuję cię, czekay, zaraz ia tu będę
Z pacholkami, tylko wprzod zapiszę widendę.
Ha! y ty niewiernico strzeż się mego piorka;
Zaraz się oyciec dowie, iaka iego corka,
Y przed całym rodzeństwem poydę cię ob-
winić,
A potym zobaczemy, co z tym daley czynić.

S C E N A V.

ELZUSIA, WALERY, FIDELSKA.

ELZUSIA.

Schronię się przed szponami tych okrutnych
sępów,
Bo się boję niegodnych dla ciebie następów;
Y gdyby się twoy ociec dowiedział, żeś to
ty,
Wzburzyłyby się iego gniewliwe kłopoty.
Każdemu to naypierwey przyşłoby do głowy,
Ześ tu przybył ukazać zapęd iaki nowy,
Y w iego się od razu ta myśl zrodzi bolu;
Ze między nasze domy chcesz nasiać kąkolu;



Niestety! mogliby cię za mniemanie winy,
Zamknąć przed wysłuchaniem rzetelney przy-
czyny.

FIDELSKA.

Nie turbuy się WaćPanna, już to moja
praca,
Jak go skryję, zie kata kto go tam wymaca.

*Elżusia do Walerego, który ją w rękę
całuje.*

Idźże już idź! Walery, ja się będę wzma-
gać,
Zeby oycą twoiego po cichu przebłagać,
Niechaj natura, którą występki uciska,
Za pomocą miłości swe prawa odzyska.

do Fidełskiej.

Bieź za nim, niech się kryje, niech rażno
umyka.

S C E N A VI.
BIZARSKI, ELZUSIA.

BIZARSKI.

Chciałem znaleźć u ciebie twoiego fani-
czyka.



ELŻUSIA.

Nie jest nim z łaski bożej.

BIZARSKI.

Gdzież ty myślisz biegać?

ELŻUSIA *odchodząc.*

Obyczajność mi każe ieszcze się wystrzegać
Regenta przytomności.

BIZARSKI.

To, to widzę zbliśka,
Niebezpieczne potkanie tego Regenciska.
Radbym ia dla uciechy wypatrywać z kąta,
Jak się koło swej przyszłej nasz Pan młody
krząta.

SCENA VII.

SIECIECH, BIZARSKI, PACHOLCY.

SIECIECH.

Bierz, szukay, ścigay, łapay; gdzie oni?
gdzie oni?

Ah! kto mi ich ukaże, kto mi ich dogoni?
Kędy mi te ofszufty zdarły się ze smyczy.



BIZARSKI.

Czemu się tak Wascina powaga iendyczy?
Kogo szukasz? za co ci tak się żyły palą.
Coż ci?

SIECIECH.

Co mi? oto mię zrobiono rogalą.

BIZARSKI.

Ale statkuyno sobie; przyczyna tych żalów?

SIECIECH.

Przyjęto mię szcześnie do bractwa roga-
low.

Pięknie mię wystrychnęła ukochana żona.
Ledwie się wstrzymam słusze dawać iey
imiona.

BIZARSKI.

Zięciu!

SIECIECH.

Hultay, wbrew prawom przyprawił
mi rożki.

BIZARSKI.

Czy można!

SIECIECH.

Sam widziałem, gdy iey ścisnął nożki.



BIZARSKI.

Sławę nam bierzefz.

SIECIECH.

Mnieć to w sławie czynią szkody.

BIZARSKI.

Gdybym wiedział....

SIECIECH.

A wszakże są na to dowody.

BIZARSKI.

Jakby się to stać mogło, nie poymnię zięciu!

SIECIECH.

Ta rzecz jest postaremu łatwa ku pojęciu.

BIZARSKI.

Gdyby to było prawdą, wiem, iakbym się
sprawił,

Własnemibym Elżbietkę rękami zadławił.

SIECIECH.

Wolno ją sobie dławić, bo nie masz wąt-
pienia.



BIZARSKI.

Toć pewna, że przed nami szukała schro-
nienia,

Głos iey był pomięszany, zrzenica ku ziemi,
Umykała krokami nad zwyczaj szybkimi...
Szukavmy iey, niech wyzna przed nami obiema,
Bo gdzie idzie o honor, żartow zemną nie ma.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.



AKT PIĄTY.

SCENA I. ELZUSIA, FIDELSKA.

ELZUSIA.

Ah! ledwie się dobyła z tamtąd na twoje łono,

Jakże mię posądzano! iakże mię martwiono!
Y czemuż tak niesłuszne krzywdzi podeyrzenie

Duszy niepokalaney trwożliwe sumnienie?

O! Walery! kochanku fatalny y miły,

Gwiazdyli weyściom naszym przeciwie świecili?

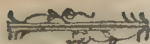
Twoje ztąd oddalenie ujęło mi życia,

A sławie szkodzi moiej dzień twego przybycia.

do Fidełskiej.

Zmiłuj się, dawaj bacność, bo szukaia wszędzie.

H 5



Obiadła mię chalastra, ieden niż głos zabrał
Pierwey połowę karty łaciną zababrał.

Drugi w groźney postawie o całą rzecz badał,
Inny mi ciekim głosem o skrupułach
gadał;

A ia stały y zwięzły y w minie iednaki
Z niczym poodprawiałem te pieniaćwa żaki,

ELŻUSIA.

Nic nie wiedzą?

HOŁOTKIEWICZ.

Nic ieszcze, ale zawsze bywa,
Ze się wszelaka skrytość nakoniec odkrywa.

ELŻUSIA.

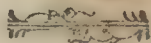
Ah! y pokiż moy umysł tak się będzie
biedził!

Gdyby przynajmniej Regent oycy nie uprze-
dził.

Drzę cała, nowe coraz przeymuią mię strachy
Na honor, na kochanka, widząc te zamachy,
W miłości tylko ufam, ta mię wyrwie z toni,
Ta mi dowcipu doda.

FIDELSKA.

Niech nas dobrze broni;



Bo mamy przeciw sobie dwoch słarcow y
syna,

Za którym kabałuje prawnicka drużyna;
Tyłając o nas powieści szkodzących rozności
Te werśatki, które już z miłostek wyrosły.
Świegotliwe sąsiady pomnażają plotki,
A naybardziej WaćPannę szkalują dewotki.
Gdybyś to tę widziała własnemi oczyma,
Która do dużych zabaw czterech oycow
trzyma,

Jak na WaćPannę wrzeszcząc, ledwie że nie
pęka,

Albobyś się naśmiała, albobyś się zlekła...

HOŁOTKIĘWICZ:

Już też y ja bywalec y świadom hałasu,
Ale nigdy równego nie widział tartasu.
Co tam za przeraźliwe w całym domu krzyki
Fraszka gwar iarmarkowy, frazka y seymiki,
Każdy WaćPannę, ten tak, ten inaczej wini,
Każdy o tym rad mówi, każdy co przyczyni.
Zdumiałe muzykanty wypędzono z sali,
Ani im zapłacili, ni w gardło nalali.
Sześć zaślawionych słów z winem y Her-
bami,

W tumultcie wywrocono do gory nogami.
Lud się zbiega, a czeladź je piie do woli,
Pan Bizarcki klnie, łaje, Pan Regent gryzmoli



ELŻUSIA.

A ociec Walerego w tak zawiłym razie,
Co też o tey mniemaney sądzić raczy skazie?

FIDELSKA.

Widać, iż także cierpi iego zacna dusza,
Oczy wznosi do niebios, ramionami wzrusza;
Długo tym zaskarżeniom nie dawał się łudzić,
Zebys WaćPanna miała dawną chwałę zbru-

dzić,

Utrzymywał, że to jest przeciw rozumowi.
Nakoniec dowodami zwyciężany, mowi:
Jeśli to nie jest fałszem o Pannie Elżbiecie,
To się już żadney wierzyć nie godzi kobiecie.

ELŻUSIA.

Jakże moja uprzejmość ku niemu się szerzy!

FIDELSKA.

Nasz Tata idzie, który w przewinienie
wierzy;

Uciekaymy co prędzey.

ELŻUSIA.

Ja tu muszę zostać.

Uciekając wziąłabym winney na się postać.

HOŁOTKIEWICZ, *uciekając.*

W nogi!



S C E N A III.

BIZARSKI, ELZUSIA, FIDELSKA.

BIZARSKI *tonem z gniewu przeciągłym.*

A ty! maszkaro, a ty niezbednico!
Duszo czernidła pełna, gorąca dziewico!

Tonem prędkim.

Oy Elżusiu! Elżusiu! iak to? co to było?
Kiedy ci się go widzieć pierwszy raz zdarzyło?
Gdzie teraz ten oprawca? mow a nie kręć wici
Chcę wszystkiego dochodzić, iak kłębka po
nici.

Gadayże: alboż ia to groch rzucam na ściany;
Nie umierasz ze wstydu?

ELŻUSIA.

Nie, oycze kochany.

BIZARSKI.

Y ieszcze tym pśim tonem? coż to za stworzenie?

Zawsze mi powiada *nie*, y *nie* y ieszcze *nie*;
Kiedyś się poszkapila, masz się skromnie cho-
wać,

Zeby mię zaraz słuchać, żeby mię szanować,
Y bać się; przykazuje na błogosławieństwo.



ELŻUSIA.

Oycze moy! wszelkie we mnie znaydziesz
posłuszeństwo.

BIZARSKI.

W te mi gray; a widzi Wać kiedy ia po-
grozę,
Jakaś teraz malutka...

ELŻUSIA.

Jeszcze sobie wrozę,
Iż tyle proźba moja pokornie wyjedna,
Bym wprzod mogła z Staroścą mówić sama
jedna.

BIZARSKI.

Có tobie po Starości? czemu całe sprawy
Przedemną nie opowiesz?

ELŻUSIA, *całując go w ręce*

Oycze moy łaskawy!
Tę tajemnicę, w ktorej o sławę nam chodzi,
Jemu tylko samemu powierzyć się godzi.

BIZARSKI.

Co ona chce od niego? co mu będzie pra-
wić?



Ną, można ją z tym starym sam na sam zosta-
wić.
 Ale jeśli poniosła plamę na honorze,
 Zaraz tę sekutnicę pakuję w klasztorze

SCENA IV.

ELZUSIA, FIDELSKA.

ELZUSIA.

Zdać się w tych momentach serce we mnie
 kruszyć,
 Zaczny Starosto czyliż potrafię cię wzruszyć?
 Zgon albo życie moje, w twoich ręku Panie!...
 Słuchaj ieno, Fidska.

mowi do niej cicho.

FIDELSKA.

Wszystko się tak stanie.

SCENA V.

ELZUSIA, KLIMUNT.

ELZUSIA *przysławiając krzesła.*

Siądź że WacPan Dobrodziey.... a dozwol
łaskawie,

Ażebym ja klęczący mowiła w mej sprawie.

KLIMUNT



KLIMUNT, *nie dopuszczając ię kłękąć.*
WacPanna mię urażasz.

ELŻUSIA.

Nie day tego Boże!
Oycze moy, któż cię więcej czeić nademnie
może?

KLIMUNT.

WacPanna moią corką?

ELŻUSIA.

Smieim podchlebiać sobie;
Że to imie na moim będzie ryte grobie.

KLIMUNT.

Corką moią? po takiej wzgardzie obo-
wiązku?
Ktora naszego węzły roztargała związku!
Lecz nie chcę o tym sądzić; wolę się wprzod
pytać.

ELŻUSIA.

Obyś WacPan Dobrodziey mogł w swym
sercu czytać,
Przywiązanie do siebie y respekt bez końca;
Wiem że z mego Sędziego byłbyś moy,
obronca,



Racz cierpliwie wysłuchać słowa niezawodne,
A może zdania nasze pokażą się zgodne.

Siada przy Klimuncie przymuszona.

Gdyby, Mości Starosto, serce się twe było
Związkiem ściśley przyjaźni z takowym spo-
iło,

Ktoryby, lubo ieszcze nie dożyrzały wiekiem,
Dawał nadzieię ślać się czi godnym czło-
wiekiem,

Rosnąc razem w zaślugi, wdzięki y przymioty.
Gdyby potym chybiając trudne ścieżki cnoty,
Pochylił wziąwszy drogę za rokoszy marą,
Wszystkie swe powinności czynił iey ofiarą,
A przez bystrość lat młodych niezważając
każni,

Wszelkie rwał obowiązki nawet y przyjaźni.

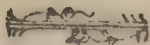
KLIMUNT.

To co?

ELŻUSIA.

Jeśli by zczasem więkfze doświad-
czenie,

Dozwoliło mu poznać znikome łudzenie
Tak fałszywego dobra, co się z błędu łagnie,
Y zgryzoty za sobą nie odbite ciągnie;
On tedy chwyciwszy się rozumu pochodni,
Porzuca owe drogi wiodące ku zbrodni,



Zbuiane namiętności rozumem ukraca,
Y do przyrodzoney się uczciwości wraca.
Mogłżebyś temu zamknąć wstęp do serca
śmiało,
Ktore dla niego dawniecy otwarte bywało?

KLIMUNT.

Coż tedy z tey przemowy WaćPanny wynika?
Y czym się to moiego ukrzywdzenia tyka?
Tego, co przy WaćPannie na klęczkach zdy-
bano,

Twarz, w tych stronach nieznana, niewia-
dome miano,

Nikt go z naszych nie widział, sama tylko
wdowa,

Powiada nam, że to jest człowiek ode Lwowa.

Inni sądzą, że on jest miłośnik bezczelny,

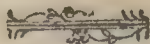
Który umyślnie przybył dzień mięsząć we-
selny;

Wyznam, że taki portret tego swywolnika,
Ciężey mię okropnością y dziwem przenika.

ELŻUSIA.

Gdybym pewne skrytości powiedziała
prosto,

Więceybyś był zdziwiony, Mościwy Starosto.



Duszę masz nie okrutną y czyniącą pięknie,
 Ktora nad przypadkami niešťczęśliwych mię-
 knie,
 Y Walery, ktorego los od nas oddziela,
 Wszakże długo był miłyo czom rodziciela!

KLIMUNT.

To pewna. Y tym więcey czyny obelżywe
 Powinny były zciagać gniewy moie mściwe;
 Jęczę nad iego śmiercią y nie raz się łzami
 Obląłem, nad sprostnemi iego postępkami;
 Lecz za to, że ze złemi ustawnie się parał,
 Uwaga mi przyświadcza, iżbym go był karał.

ELŻUSIA.

To się tylko tak mowi, ale się nie iści.
 Czuć wieczne w pierśiach swoich żądło nie-
 nawiści
 WaćPan Dobrodziey mogłbyś? y odpychać
 razem
 Syna, ktory stałby się oycowskiem obrazem?
 Choćby nawet całując rodzicielskie stopy,
 Toczył z oczu pokutnych rzęsiłte ukropy?.

KLIMUNT.

Nieracz, o Panno, moiey domęczać siwizny,
 Przez rozwarcie cokolwiek przyśklepioney
 blizny!



Moy syn albo nie żyje, albo ztąd daleki,
Przymuie w pierś swoje wszelkich zbrodni
ścieki,

Gdyby się on na cnoty mógł powrócić ślady,
Nie przyśzedłbyż za dawne przepraszać mnie
wady?

ELŻUSIA.

Przydzie za winy błagać, bądźmy tego
pewni,
Y oycą wyliczaniem swych przygod rozrze-
wni.

KLIMUNT.

Co powiadasz?

ELŻUSIA.

Jeśli się już w grobie nie mieści,
Zatłoczony ciężarem wstydu y boleści,
To słuszną przeniknioną być mogę otuchą,
Iż padnie w oczach oycą przyduszony skru-
chą.

KLIMUNT, *nie posiadając się.*

Widzisz, iaka mnie dręczy troskliwość nie-
zmierna.

Ah! jeśli wiesz co o nim, bądźże miłosierna,



Móia Panno, powiedz mi, czy to wieści
czyje?

Czy pewnoś?

ELŻUSIA.

Kocha oyca, ieśli tylko żyje.

KLIMUNT.

Gdyby nas ieścze kochał ten nasz przenie-
wierca,

Ale zkąd się dowiedzieć o tym?

ELŻUSIA.

Z iego serca.

KLIMUNT.

Wiem, iż wątpliwych rzeczy mowicieś
nierada.

ELŻUSIA.

Sama istotna prawda memi usty włada.

KLIMUNT.

Zbyt długiego używałś ze mną zawieszania,
Ulituy się nad laty bliżkiemi skończenia,
Utwierdź mię, mogłabym mieć niepłonną
nadzieję?



Te ły mi są świadkami, które teraz leię,
Zem kochał mego syna.

ELZUSIA, *czyniąc kilka kroków do Walerego, który jest w pobliżu.*

Podźże, Panie winny.

SCENA VI.

KLIMUNT, WALERY, ELZUSIA.

KLIMUNT.

O Boże!

WALERY, *wpada, y ukleka.*

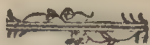
Racz mię poznać, oycze, dobroczynny,
Do ktorego mię zawsze affekt wiąże ściśly;
Smierć lub życie od twego skinienia zawisły.

KLIMUNT.

A eoż cię tu ziawiło?

WALERY.

Swoją gorną władzą,
Natura mię, pokuta, y miłość prowadzą.



ELŻUSIA, *kłękając także.*

Złączone przy twych stopach, widzisz oycze,
dzieci,
Rowne się przywiązanie w sercach naszych nieci,
Rowno cię szanujemy...

WALERY.

Niech oycowskie prawa,
Użyją tych przykładów, które miłość dawa.
Mnie wyrok na to tylko wiek jeszcze prze-
dłużył,
Bym tak wiele dobroci cokolwiek odflużył.
Ale coż ja postrzegam? wszak na niezcze-
śnika,
Łaskawe oycza oko zwracać się unika!
Może ten czynią skutek rany odświeżone!...

KLIMUNT, *wstając podnosząc ich,
i ściskając.*

Jest to wzruszenia skutek... wszystko prze-
puszczone!
Niechayże ia między was mą uprzejmość
dzielę,
Moy synu!

ELŻUSIA.

A ia mu się żoną być ośmielę



Niechże nas' już! wątpliwość dłużej nieciemieży,

Niech rodzicielska ręka pierwsze węzły zteży.

Walery tu po nowe nie przychodzi dary,

Godzien ociec czyścieyszey od niego ofiary.

Nic on nie chce; a iesli będziemy enotliwi,

To moy posag oboie wygodnie pożywi.

SCENA VII. y OSTATNIA.

Aktorowie poprzedzający: BIZARSKI, SIECIECH, ZDAWNIALSKA, WARTA.

SIECIECH.

A widzicie! atoli ieszcze się z nią cacka.

Teraz się śmiało rzućmy na niego znienacka.

Pokażmy, co umiemy.

BIZARSKI.

Teraz nam niecnoto....

Już zapewne nie drapniesz.

ELŻUSIA.

Obacz, oycze, kto to.

BIZARSKI.

A dalibog 'ci to on!



SIECIECH.

Co za on u kata?

KLIMUNT.

Nie inaczey, moy synu.

ELŻUSIA.

Poznay WaćPan brata.

SIECIECH.

Ten hołyfz moim bratem? coś to w tym
za sztuka.

ZDAWNIAŁSKA,

Ah! ah! ah! iak mi serce od radości puka.

KLIMUNT.

Jego dusza natchnieniem obcym była struta.
Odięła mi go płochosć, wrocila pokuta.

SIECIECH.

Czarna to dusza, ktora nie wraca do domu,
Tylko po to, ażeby porwać żonę komu.

WALERY.

Y owfzem przez WaćPana mnie miała być
wzięta,
Mnie oddawna sprzyjały te śliczne oczęta.



Y obietnicę rączki jużem był pozyskał;
Lecz kiedy mną młodości ślepy impet ciskał,
Minałem się zbłąkany z szacownym upałem!
Na którego wartości, nie dosyć się znałem.
Teraz mi dzień zbawienny oddał niespodzia-
nie,

Razem oycę uczciwość, y moje kochanie.
Zayrzrzyłżebyś mi WaćPan szczęsnego przy-
chodu,

Wracającego prawo miłości y rodu?
Niech część moja WaćPana zaokręgli dobę,
Wiem, żeś dobra ulubił, ia kocham osobę;
Y tak każdy z nas doydzie pożądaney mety,
WaćPan moiey fortune, ia w sercu Elżbiety.

KLIMUNT.

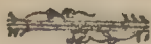
Lubo cię, moy Walery, chciwości nie-
wiodą,
Piękny myślenia sposób nie będzie ci szkodą.
Y ieślici Elżunia z niebios obiecana,
Mogłżebyim cię iey oddać bez dobrego wiana!

BIZARSKI.

Pewnieże.

ZDAWNIAŁSKA.

Opatrzności ukryta prawica
Na moię pomoc tego sprowadza szlachcica.



Chwalaż Bogu, już miła niefortunna chmura;
Ty bierz twoię Elżusię, a ja capnę jura.

ELŻUSIA.

Przyzwól, łaskawy oycze, naszemu ko-
chaniu,
Niech serce w jednośtainym trwale przywią-
zaniu,
Ktore raz tylko mogło związek obrać luby,
Będzie do swoiey dawney przywrocone kluby.

BIZARSKI.

Jeśli będzie miał we łbie trochę mniej fro-
kato,
Jeśli przestanie burdow robić....

ELŻUSIA.

Ręczę za to.

BIZARSKI.

Jeśli cię będzie kochał, y będzie miał statek...

ELŻUSIA.

Ufam, że będzie.

BIZARSKI.

Jeśli obszerny dostatek
Ociec mu zaraz nada; mogę się przychylić.



SIECIECH.

uźci znaydując brata nie godzi się kwilić;
w tak małym czasie tracę bardzo wiele,
saiątek, y żonę, y koszt na wesele.

ZDAWNIAŁSKA.

Pfe! wstydz się, moy kochany, iaki z cie-
bie sknera!
Jać, że ci łakomstwo nad miłość do-
kwiera;
Zawsze fercę kieruiesz do szerszey kalety;
Czegoż to y innie trzeba? mam konie, ka-
rety,
Ruchomości obficie; na procentach wnioski;
Trzymam nieboszczykowskie w dożywociu
wioski;
Mnieś nayıpierwszą upewniał o niezmienney
wierze;
Krzywoprzyśięstw nie mamże twoich na pa-
pierce?
Zadnegoim nie straciła twoiego szpargału,
Wszystko sędziom ukazę pod czas trybu-
nału;
Y rada powinaby przez usilek wspólnoy,
Przeciwko niewdzięcznikom wydać list okolnoy,



BIZARSKI.

Prożno się masz prawować, ożeń się z nią
 raczey,
 Bo wątpię, żebys się icy mógł pozbyć ina-
 czey.

KLIMUNT.

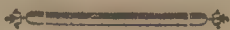
Obciążasz mię WaćPani wdzięcznością pra-
 wdziwą,
 Gdy Regenta czić raczysz przyjaźnią tak ży-
 wą;

Honorby mu zapewne y sprawa czyniła,
 Jey przyczyna dla niego ozdoba y miła.
 Ale dozwol, ażeby baczność moja cała
 Dziś się na tyna powrot szczęśliwy zwracała.
 Wy, moje dzieci, na znak ukontentowania
 Aflektu braterskiego powtorzcie ściśkania.

do Bizarzkiego.

A my dziękować Panu poydziemy nad Pany,
 Za tak pomyślny skutku w radości przemiany.
 Ten przykład ieś pamiętny, nigdy nie na-
 leży
 Rozpaczać o poprawie nadplutey młodzieży.

KOŃIEC AKTU PIĄTEGO.



uia

a-

a-

y-

y,

y,

a-

y,

